



wiadomości kościańskie

ISSN 1231-9589

pismo regionalne

cena 7 zł

nr 12 (280)

grudzień 2015

*Na pagórku niewielkim, we brzozowym gaju,
Stał dwór szlachecki, z drzewa, lecz podmurowany;
Świecił y się z daleka pobielane ściany,
Tym bielsze, że odbite od ciemnej zieleni
Topoli, co go bronia od wiatrów jesieni.
Dom mieszkalny niewielki, lecz zewsząd chedogi,
I stodołę miał wielką, i przy niej trzy stogi
Uzłatku, co pod strzechą zmieścić się nie może;
Widać, że okolica obfita we zboże...*

Fragment z Księgi Pierwszej „Pana Tadeusza”



*Najlepsze życzenia Świąteczne i Noworoczne
Czytelniczkom i Czytelnikom „WK”
ze Skansenu Filmowego w Soplicowie*

Zespół Relaksacyjny

W numerze:**■ O Orle Białym
na tle wystawy rzeźb
Henryka Zięby**

pisze
Jan Pawicki
(6-9)

**■ „Dobosz” dla
prof. dr. hab.
Michała Polaka**

(10-11)

**■ Dziennik
red. Macieja Morawskiego**

(12-13)

**■ Jak zapamiętał
kościąńskie Gwiazdki
pisarz emigracyjny
Adam Tomaszewski**

(23-24)

**■ O Żydach nad Obrą
z Jerzym Zieloną**

rozmawia
Teresa Masłowska
(29-33)

**■ Wiersze:
Eugeniusza Wachowiaka**

(34-35)

Tadeusza Hofmańskiego
(35)

„Wiadomości Kościąńskie”. Pismo regionalne, ukazuje się od czerwca 1988 roku. Laureat głównej nagrody IV Konkursu Institute for Democracy in Eastern Europe. Wydawca: Przedsiębiorstwo „AGA” w Kościanie. Redaguje zespół: Teresa Masłowska (redaktor prowadzący), Jerzy Wizerkaniuk (red. naczelny), Jolanta Napierała (z-ca red. naczelnego), Grzegorz Pawlak (grafik).

Adres redakcji: 64-000 Kościan, ul. Dworcowa 2, tel./fax (0-65) 512-16-15. Druk: Drukarnia Zbigniew Sołtysiak, ul. Surzyńskiego, Kościan. Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania nadsyłanej korespondencji, nie zwraca materiałów nie zamówionych i nie odpowiada za treść ogłoszeń.

Na okładce:

Fotografia soplicowskiego dworku w zimowej szacie. Ze zbiorów Marka Pinkowskiego.

W 1999 r. do wsi Cichowo koło Krzywinia sprowadzono budowle, które odegrały Soplicowo na planie filmowym „Pana Tadeusza”. Filmowy folwark z sadem i zielenią wokół Dworu Sopliców i Pensjonatu Gerwazy oraz stajnia, stodoła, spichlerz, kurnik, wozownia i lamus przenoszą odwiedzających to urokliwe miejsce na „mickiewiczowską wieś”. W uroczystym otwarciu skansenu uczestniczyli m.in. reżyser Andrzej Wajda, scenograf Alan Starski, aktorzy Grażyna Szapołowska, Alicja Bachledda-Curuś oraz



Marek Kondrat. Podkomorzy i właściciel Skansenu Filmowego Soplicowo p. Marek Pinkowski uczynił z tego miejsca turystyczną atrakcją na krajową skalę.

Rafał Frąckowiak nie żyje

Fot. Mirella Frąckowiak

W piątek – 11 grudnia 2015 r. zmarł w Kościanie, w wieku 50 lat, nasz Przyjaciół redaktor Rafał Frąckowiak. Urodził się w Śmiglu, młodość i dojrzałe życie spędził w Kościanie. W tutejszym liceum w 1984 r. zdał egzamin dojrzałości, po czym studiował politologię na UAM w Poznaniu – Wydział Nauk Społecznych. Na łamach prasy debiutował jako uczeń szkoły średniej. Współpracował z „Panoramą Leszczyńską”, a w listopadzie 1990 r. został etatowym dziennikarzem tego tygodnika. Był członkiem pierwszego zespołu i sekretarzem redakcji „Wiadomości Kościąńskich”. Specjalizował się w reportażach o tematyce społecznej. W dobie

językowego niechlujstwa jak mało kto szanował wartość słowa. Przez ostatnich dwadzieścia lat prowadził korektę „PL”. Pasjonował się informatyką, podróżami z żoną Mirellą po kraju i Europie oraz domem i ogrodem. Niewątpliwy talent. Wrażliwy, delikatny, przyjazny ludziom, głęboko przeżywający tragedie bohaterów swoich reportaży. Nieśmiały i skromny - nie potrafił zabiegać o własną karierę. Wielkopolskie, szczególnie zaś kościąńskie dziennikarstwo poniosło niepowetowaną stratę. Pożegnaliśmy Go we wtorek – 15 grudnia 2015 roku na Cmentarzu Komunalnym w Kościanie. Będzie Go nam brakowało.

Nieprzeciętni w tym co robią



Laureaci tegorocznych wyróżnień „Wiadomości Kościańskich”.

Fot. Bogdan Ludowicz

Już po raz 25. redakcja „Wiadomości Kościańskich” przyznała nagrody „Za nieprzeciętność”. Po raz 21. czasopismo regionalne przyznało wyróżnienie „Dobry Gospodarz”. Uroczystość ich wręczenia odbyła się w Cichowie.

Na uroczystość do Skansenu Filmowego „Soplicowo” zaproszono laureatów nagród z poprzednich lat oraz parlamentarzystów, przedstawicieli lokalnych samorządów, firm, organizacji i instytucji. Wśród gości był były prezydent RP Bronisław Komorowski.

- Już po raz dwudziesty piąty redakcja „Wiadomości Kościańskich” przyznała nagrody za nieprzeciętne dokonania w życiu społeczno-gospodarczym i kulturalnym oraz wkład w rozwój Ziemi Kościańskiej – przypomniat prowadzący uroczystość Paweł Sałacki z zaprzyjaźnionej redakcji „Gazety Kościańskiej”. - Gwarantem wartości tych wyróżnień jest grono ich laureatów. To kilkadziesiąt osób o różnych profesjach i pasjach, których łączy jedna wspólna cecha – są nieprzeciętni w tym, co robią. Każda z nich odcisnęła pozytywne

piętno w krajobrazie Ziemi Kościańskiej.

Nagrodę stanowi odlew z brązu tytułowej strony „Wiadomości Kościańskich”. Statuetkę zaprojektował artysta rzeźbiarz Michał Gołąbek. Wyróżnienia wręczył redaktor naczelny „Wiadomości Kościańskich” Jerzy Wizerkaniuk. Laureatem tegorocznej nagrody „Za nieprzeciętność” w kategorii regionalizm został śp. Leszek Michalczak.

- Nie jest to nagroda pośmiertna. Mieliśmy zaszczyt i honor poinformować o niej laureata oraz przepro-

wadzić z nim długi, jak się okazało, ostatni wywiad. We wrześniu przegrał długą walkę z chorobą. Miał sześćdziesiąt lat – mówił Paweł Sałacki.

Leszek Michalczak przez 37 lat związany był z Zespołem Szkół nr 4 w Kościanie. Uczył matematyki i wychowania fizycznego. Przez 25 lat był dyrektorem szkoły. Z jego inicjatywy „czwórce” nadano imię wybitnego regionalisty i honorowego obywatela Kościana Mariana Koszewskiego. Był wiceprezesem kościańskiego Oddziału PTTK. Współtworzył trasy turystyczne i turystyczno-regionalne. Przez 9 lat prowadził sekcję turystyki na Kościańskim Uniwersytecie Trzeciego Wieku. Posiadał najwyższe odznaczenie PTTK. Za propagowanie turystyki został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi.

- O wielkości tego skromnego człowieka, świadczyło kilka tysięcy ludzi, którzy przybyli na jego pogrzeb – podkreślił prowadzący uroczystość.

Statuetkę i certyfikat potwierdzający przyznanie nagrody odebrała siostra laureata Jolanta Jąder.

Wyróżnienie za „mikrofon i pióro” otrzymał Jarosław Adamek, dziennikarz Radia Elka. Z tą stacją związany jest od 19 lat. Zaczynał od sond ulicznych i relacji z wiejskich uroczystości. Dziś ma swoje pasmo codziennych wywiadów. Od kilku lat komentuje wydarzenia w felietonach. Można je czytać na portalu elka.pl.

- Jest jedną z najbardziej rozpoznawanych postaci lokalnych mediów, które w kręgu swych zainteresowań mają Ziemię Kościańską. Jarek otrzymał nagrodę nie za to, że jest rozpoznawalny, ale za to, w jaki sposób wykonuje pracę dziennikarza lokalnego – podkreślił Paweł Sałacki.

- Szok. Kościaniacy przyznają nagrodę leszczyńskiemu. To duża rzecz – żartował Adamek. - Najlepsze, co mi się w życiu trafiło, poza żoną i dziećmi jest to, że robię to, co kocham. Każdemu z państwa takiej pracy i takiego życia życzę. Bardzo dziękuję. To dla mnie wielki zaszczyt.

W kategorii „troska o zabytki” redakcja nagrodziła Grzegorza Koniecznego. To pomysłodawca i twórca prawdopodobnie jedyne w Polsce muzeum gorzelnictwa, od 11 lat działającego w budynku czynnej, stuletniej gorzelni w Turwi. Przyciąga ono liczne wycieczki.

- Bardzo dziękuję kapitule za to, że tę małą gorzelnię w Turwi zobaczyła. To wyróżnienie nie tylko dla mnie, ale także pracowników. Jeżdżę po gorzelniach, z których można jeszcze coś zabytkowego wyciągnąć, załatwić i przywieźć. Moi współpracownicy czyszczą to potem i pielęgnują. Wszystko robimy we własnym zakresie – podkreślał Grzegorz Konieczny. - Ta gorzelnia nie jest moja. Reprezentuję firmę Top Farms Wielkopolska. Zawsze powtarzam szefostwu, że jest sens oprowadzania i pokazywania, co się dzieje, jeżeli gorzelnia pracuje. To jest najważniejsze. Bardzo serdecznie dziękuję i zapraszam do Turwi, do gorzelni.

Za przedsiębiorczość statuetkę odebrał Michał Szybiak, współtwórca spółki Michel w Bruszczewie w gminie Śmigiel. Jej specjalnością są mieszanki mineralno-witaminowe oraz specjalistyczne dodatki żywieniowe dla trzody chlewnej, bydła i drobiu. To jedyna mieszalnia pasz w Polsce, która wykorzystuje proces mikronizacji polegający na specjalnej obróbce termicznej ziaren zbóż oraz nasion grochu, soi i innych surowców.

- Wprowadziliśmy tę technologię do Polski, a nawet na kontynent – mówił Michał Szybiak. - Produujemy płatki śniadaniowe dla cielaków i bebiko dla prosiaczków. To coś, czego nikt wcześniej w Polsce nie robił.

W tym roku redakcja „Wiadomości Kościańskich” postanowiła szerzej spojrzeć na otaczający świat i zacząć nagradzać ludzi, którzy ten świat zmieniają. W kolejnych latach redaktorzy z prowincji wyróżnienie „za nieprzeciętność” przyznawać będą osobom z dalekiego świata, których działalność pozytywnie odmienia również Ziemię Kościańską. Poprzeczka została zawieszona bardzo wysoko. Laureatem pierw-

szej nagrody w nowej kategorii został prezydent Bronisław Komorowski. Doceniono jego wkład w rozwój wolnej i demokratycznej Polski oraz szereg inicjatyw sprzyjających pielęgnowaniu radości, satysfakcji i dumy z sukcesów Polaków.

- Dziękuję za wyróżnienie oraz za to, że znalazłem się w tak zacnym gronie. Gronie osób, które cenią sobie równowagę pomiędzy tradycją i nowoczesnością w imię dokonań generała Dezyderygo Chłapowskiego, w imię także pewnego stylu uprawiania patriotyzmu polskiego typowego dla Wielkopolan. Dzisiaj właśnie generał Dezydery Chłapowski może być świetnym przykładem patriotyzmu polskiego wyrażanego w pracy, postępie i nowoczesności. To wszystko znajduję na tym terenie – mówił prezydent Bronisław Komorowski. - Serdecznie dziękuję za wyróżnienie. Będzie dla mnie wielkim i ważnym przypomnieniem także mojej skromnej przynależności do tej wspólnoty.

Podczas uroczystości po raz 21. wręczono wyróżnienie „Dobry Gospodarz”. Nagrodę przyznano Bronisławowi Michalakowi, byłemu sołtysowi wsi Jasień i przewodniczącemu Rady Nadzorczej Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska w Czempiniu. Redakcja „Wiadomości Kościańskich” doceniła jego wieloletnią, obfitującą w sukcesy działalność na rzecz lokalnej społeczności. Niestety laureat z powodów zdrowotnych nie mógł przybyć na uroczystość. Wazącą 30 kilogramów rzeźbę autorstwa Mariana Malińskiego w jego imieniu odebrał burmistrz Czempinia Konrad Malicki.

Jednym z ostatnich punktów uroczystości było przekazanie historycznego, wykonanego ręcznie banera „Wiadomości Kościańskich” na ręce redaktora Jerzego Zielonki, ojca chrzestnego czasopisma. Muzycznym przerywnikiem był występ kapeli dudziarskiej Sokoły działającej przy Kościańskim Ośrodku Kultury. (h)

*) **Przedruk z „Gazety Kościańskiej”**

Wystawa płaskorzeźb Henryka Zięby

Orzeł Biały



Orzeł Władysława Łokietka

„Orły Polskie – rzeźby w drewnie” – taki tytuł nosiła wystawa dzieł Henryka Zięby (1918 – 2012), otwarta 11 listopada 2015 r. w Muzeum Regionalnym im. dra med. Henryka Florkowskiego w Kościanie. Pomysłodawcą był przyjaciel rzeźbiarza, a nasz współpracownik, mgr Jan Pawicki. Poniżej zamieszczamy fragmenty tekstu, zamieszczonego w numerze 4 „Kościańskich Zeszytów Muzealnych”.

Tym, co wyróżnia współcześnie istniejące państwa w stosunkach międzynarodowych są symbole narodowe, którymi są godło, flaga i hymn. Współczesna postać naszego godła, którym jest Orzeł Biały przeszła na przestrzeni wieków ewolucję uzależnioną od obowiązującej w danym okresie mody, a także od aktualnych wydarzeń historycznych. Godło zmieniało swoją postać, a także swój symboliczny przekaz. W średniowieczu chorągiew i

godło były znakiem rozpoznawczym wojsk. Z chwilą pojawienia się hełmu całkowicie przesłaniającego twarz miejscem, w którym umieszczano znak rozpoznawczy stała się tarcza. Pole tarczy było barwione na jeden lub kilka kolorów. Ze względu na dobrą widoczność używano najczęściej barwy zielonej, niebieskiej i czerwonej, a sam wizerunek godła był wykonywany ze złota lub srebra, których odpowiednikami dziś jest żółć i biel. Motywami

znaków herbowych były rysunki zwierząt (lwy), ptaków (orły), oraz roślin (róże, lilie). Lwy i orły stanowiły wśród swoich gatunków najsilniejsze ptaki i zwierzęta.

Wśród Babilończyków, Persów i Hindusów orzeł był symbolem boskości. Na początku II tysiąclecia czarny orzeł jednogłowy stał się godłem Cesarstwa Niemieckiego i był umieszczany w herbie i insygniach władzy (berło i jabłko). Orzeł biało-głowy występuje w godle państwowym Stanów Zjednoczonych, Meksyku i Egiptu, a jednogłowy orzeł czarny jest godłem państwowym Austrii i Niemiec, a dwugłowy Albanii i Rosji. Orzeł jest symbolem męstwa i siły, a w chrześcijaństwie modlitwy i łaski. W Polsce występują dwa gatunki orła: bielik i orzeł przedni.

Trwały spory o to, który z orłów stał się wzorcem naszego godła. Obydwa gatunki różnią się zasadniczo. Stare ptaki bieliki mają białe sterówki ogona, skoki są nieopierzone, a masywny dziób jest lekko zakrzywiony. Orzeł przedni posiada dobrze rozwinięte szpony i hakowaty dziób, oraz nieopierzone aż do nasady palców skoki. Pod spodem rozpiętego skrzydła znajduje się duża jasna plama. Głowa jest rudo ubarwiona. Znakomity ornitolog, prof. Jan Bogumił Sokołowski twierdził, że protoplastą naszego godła jest jednak orzeł przedni, gdyż: „orzeł przedni jest ptakiem legend i pieśni, herbów i sztandarów, symbolem siły i wzlotu ku wyżynom”. Orzeł występuje w wielu legendach o utworzeniu miast. Obserwacja lotu orła miała wskazać Romulusowi i Remusowi, gdzie powinni założyć Rzym. Podobna legenda pochodzi od Galla Anonima, który opisał wydarzenie, jakie spotkało jednego z Piastów tj. Lecha. Otóż podczas jednej z wędrówek po kraju ujrzał wielką ilość orlich gniazd. Rezultatem



Herb Polski XV w.



Orzeł Wojsk Wielkopolskich 1919 r.

(3x) Fotografie płaskorzeźb H. Zięby.

tego spotkania była decyzja o wybudowaniu w tym miejscu grodu i nazwaniu go Gniezmem, a znak orła miał stać się godłem podległych mu Polan. Wacław Potocki pisze o tym wydarzeniu, że: „Znalazł w gnieździe orły białe, Wziął za herb kraju to ptaszę, Wzniósł miasto nieokazałe, Gniezmem nazwał miasto nasze”

Kolejny kronikarz Wincenty Kadłubek odnotowując bitwę Polaków z Rusinami pod Brześciem pisał: „Ujrawszy jednak znak zwycięskiego orła radośnie przedzierają się przez zwąły trupów i tym usilniej prą do zwycięstwa, z im większą chlubą patrzą na tryumf swego księcia”. W XIII wieku kronikarz czeski opisując bitwę stoczoną przez wojska króla węgierskiego Władysława z wojskiem czeskim wspomaganym przez polskich książąt śląskich pisze: „Panie to są Polacy ... sztandar czarny jak węgiel z białym orłem unosi się nad polskim orszakiem”. I wreszcie Jan Długosz przyjął, że herb z wizerunkiem orła białego nadał Bolesławowi Chrobremu cesarz Otton III, w czasie zjazdu gnieźnieńskiego w roku 1000: „Orła polskiego nadał jemu i całemu królestwu polskiemu jako wieczysty znak, aby podobnie jak Cesarstwo Rzymskie, które mając taki znak, tylko w kolorze czarnym podbiło wszystkie ludy germańskie (on, czyli Bolesław) podporządkował sobie ludy słowiańskie i pogańskie”. W postaci materialnej wizerunek orła wystąpił na monetach Kazimierza Sprawiedliwego, a na początku XIII w. na pieczęciach książąt piastowskich w Małopolsce (Leszek Biały), dolnośląskich (Henryk Pobożny), opolskich, wielkopolskich (Odonic) i kujawskich. Orzeł tam umieszczony miał szeroko rozpostarte skrzydła, głowę zwróconą w prawo, bez korony. Od połowy XIII wieku orzeł jako znak książęcy występuje tylko na Śląsku. Do znaku orła białego, z koroną na czerwonej tarczy, wykutego na grobowcu księcia wrocławskiego Henryka Probusa nawiązał w 1295 roku

książę Przemysław II koronując się na króla Polski, przyjmując go jako symbol Królestwa Polskiego. Na pieczęci pojawił się napis „Reddidit ipse Potens victicia signa Polonis” (Zwrócił sam Najwyższy zwycięskie znaki Polakom), to znaczy koronę i orła.

Podczas panowania królów Władysława Łokietka i Kazimierza Wielkiego orzeł biały na czerwonym polu, ze złotą koroną na głowie, złotymi szponami, i rozwartym dziobem, stał się godłem państwowym Polski. Był zamieszczony na chorągwi wielkiej Królestwa, a także pieczęciach majestacyjnych królów. O wyglądzie tej chorągwi pisze Długosz „była czerwona, a na niej wyszyty był misternie orzeł biały, z rozciągniętymi skrzydłami, dziobem rozwartym i koroną na głowie, jako godło i herb całego Królestwa Polskiego”. Kolor biały tego orła oznaczał dobro, czerwień dostojność. Czerwone pole wynikało z przekonania, że najdostojniejszym kolorem dla władców jest purpura. Warto tu dodać, że wizerunek orła był umieszczany w herbach wielu miast np. Krakowa. Był on umieszczany na tle bram lub murów miejskich. Po historycznym układzie w Krewie w 1385 roku królem Polski został Władysław Jagiełło, a herbem zjednoczonych państw stał się Orzeł polski oraz litewska Pogoń, umieszczone na jednej tarczy dwudzielnej (Orzeł po prawej, Pogoń po lewej), lub czworodzielnej (Orzeł i Pogoń naprzemiennie). Ostatni dwaj Jagiellonowie tj. Zygmunt Stary i Zygmunt August przyozdabiali orła monogramami S (Sigismundus) oraz SA (Sigismundus Augustus). Od czasów Stefana Batorego stało się zwyczajem umieszczać na piersiach orła, znajdującego się na pieczęciach królewskich herb osobisty władcy.

W okresie kontrreformacji i baroku nad koroną pojawił się emblemat monarchiczny – jabłko z krzyżykiem. Później ten emblemat zanikł. W czasach saskich orzeł staje się przysadzisty, pozbawiony majestatu. W okresie panowania Stanisława Augusta orzeł wyróżnia się wydatnym tułowiem, wyciągniętymi bardziej ku górze skrzydłami, pierzastym ogonem i zagiętymi a nie rozczapierzonymi szponami. Herb ten był herbem I Rzeczypospolitej do 1795 roku. Spośród tych orłów wyróż-

niał się orzeł Kazimierza Wielkiego, który ma skrzydło o pięciu piórach odchylonych od tułowia, z łapami szerzej rozstawionymi, mocniejszymi i potężnymi szponami i dlatego jest bardziej majestacyjny. Tarcza herbowa o prostych brzegach, z zaokrąglonym spodem pojawia się w pierwszej połowie XV wieku. Zastąpiła ona dotychczasową tarczę gotycką. Nowe tarcze były prostokątne ze spodem wydłużonym w szpic. Orły jagiellońskie miały skrzydła o większej ilości piór. W XV wieku spotyka się herb Polski trzymany przez dwa anioły zwane trzymaczami. Orły Piastów i Jagiellonów miały na głowach korony otwarte.

Stefan Batory zamieścił na tarczy swój herb rodowy „Trzy Zęby”, przedstawiający trzy wilcze kły. Królowie Zygmunt III, Władysław IV i Jan Kazimierz posiadali herb rodowy „snopek”, przedstawiający złoty snopek zboża przewiązany złotą wstęgą. Jan III Sobieski na tarczy umieścił herb rodowy „Janina” przedstawiający tarczę rycerską. Król Stanisław August używał herbu „Ciołek” tj. czerwonego ciołka na srebrzystej tarczy. Orzeł Biały z tego okresu występuje często z regaliai królewskimi. W prawym szponie trzyma berło, a w lewym jabłko z krzyżem. Korona zwieńczona krzyżem jest zamknięta. Herby rodowe były umieszczane w części środkowej tarczy zwanej tarczą sercową.

Jak wspomniano występowały tarcze jedno lub dwupolowe a nawet wielopolowe (Władysław Jagiełło). U królów z rodu Wazów na tarczy herbowej na pięciu polach znajdowały się: Orzeł Biały, herb Szwecji i Trzy Korony, w czwartym herb dynastii Folkungów, w trzecim litewska Pogoń, a w środkowym herb rodowy „Snopek”. Tarcza herbowa o 9 polach wyglądała tak jakby były nałożone na siebie trzy tarcze: główna z herbem RP, tarcza pośrednia z herbem Szwecji oraz tarcza sercowa z herbem rodowym Wazów „Snopek”.

Ciekawą metamorfozę przeszedł herb Polski w okresie Księstwa Warszawskiego, Królestwa Polskiego i w następnych latach. Na mocy traktatu w Tylży zawartego w 1807 roku na czele Księstwa Warszawskiego stanął król saski Fryderyk August. Herb

Księstwa stanowiła trójkątna tarcza zwieńczona zamkniętą koroną z jabłkiem i krzyżem. W lewym polu tarczy znajdował się herb Wettinów, a w prawym Orzeł Biały, z regaliai królewskimi. Po upadku Napoleona przestało istnieć Księstwo Warszawskie, a w wyniku postanowień Kongresu Wiedeńskiego z 1815 roku powstało Królestwo Polskie, którego królem został car Rosji. Ustanowiono nowy herb państwowy z Orłem Białym w koronie, spoczywającym na płaszczu gronostajowym, zwieńczonym koroną z krzyżem, zawieszonym na piersi dwugłowego orła carskiego. W dobie powstania listopadowego w 1831 roku powstał kolejny herb. Na dwupolowej tarczy z lewej strony znajdował się Orzeł Biały, a z lewej Pogoń litewska. Nad nimi umieszczono koronę z krzyżem. Wzór godła został opracowany przez Joachima Lelewela.

Powstały w okresie powstania styczniowego Rząd Narodowy dekretem z 10 maja 1863 roku ustanowił nowy herb państwowy. Była nim trypolowa tarcza, zwieńczona zamkniętą koroną z krzyżem. W lewym polu znajdował się Orzeł Biały bez korony, który trzymał w szponach symbole wiary w zwycięstwo i walki. W prawym polu była litewska Pogoń, a w środkowym Archanioł Michał symbol Rusi. Orzeł Biały bez korony był pierwszym takim wizerunkiem w naszej historii. Kolejne zmiany nastąpiły w okresie I wojny światowej. Część I Brygady Legionów Polskich (1914) używała znaku orła bez korony (1 Pułk Piechoty), ale już w 1916 roku orzeł występuje w koronie. Był on używany także przez Drużyny Bartosze i Polskie Drużyny Strzeleckie oraz II Brygadę Legionów. Kolejnego usunięcia orła z korony dokonał rząd Jędrzeja Moraczewskiego (18.11.1918 – 16.1.1919). Uchwałą Sejmu RP z 28.8.1919 roku przyjęto, że godło Polski umieszczone na prostokątnym polu czerwonym stanowi srebrny orzeł z głową zwróconą w prawo, ze skrzydłami wzniesionymi do góry, z dziobem, szponami i koroną złotymi jako godło tymczasowe.

W wyniku przeprowadzonego kilka lat później konkursu przyjęto projekt opracowany przez prof. Zygmunta Kamińskiego, a wzorowany na godle z

czasów Jagiellonów i Stefana Batorego. Sejm zatwierdził ten projekt ustawą z 28.7.1927 roku. Orzeł miał mocną sylwetkę, na skrzydłach przepaskę zakończoną rozetami w kształcie gwiazdek. Tarcza herbowa była obwiedziona złotym skrajem. Na czapkach wojskowych z wyjątkiem lotnictwa i marynarki wojennej noszony był orzeł wzorowany na orle wojskowym z czasów Królestwa Polskiego.

W okresie II wojny światowej Wojsko Polskie na Zachodzie oraz organizacje podziemne związane z rządem londyńskim używały znaku orła w koronie, a oddziały wojskowe na wschodzie orła bez korony. Oddziały I Dywizji im. Tadeusza Kościuszki nosiły orła wzorowanego na tym, który umieszczony jest na grobowcu Władysława Hermana w Płocku. W PRL godło Polski ustalono dekretem Rady Państwa z 7.12.1955 roku. Do tego czasu na pieczęciach, plakatach, znaczkach pocztowych i mundurach kooperowały orły wg. wzoru przedwojennego cywilnego, ale bez korony oraz wojskowe kościuszkowskie. Nowy wzór określano jako wizerunek „Orła białego, z głową zwróconą w prawo z rozwiniętymi skrzydłami, oraz dziobem i szponami złotymi, w czerwonym polu prostokątnej tarczy, o dolnej krawędzi wydłużonej pośrodku”. W odpowiedzi na tę decyzję władz PRL Rząd RP na uchodźctwie, na mocy decyzji prezydenta z 11.11.1956 roku uznał, że na głowie orła ma znajdować się zamknięta korona z krzyżem. Obecnie obowiązujący wizerunek Orła Białego został przyjęty ustawą z 9.2.1990 roku. Wzór został opracowany przez Andrzeja Heidricha. Godło Rzeczypospolitej, a także hymn i flaga są obowiązującymi symbolami Rzeczypospolitej. Art. 28 Konstytucji RP stanowi, że godłem RP jest wizerunek orła białego w koronie w czerwonym polu. Bardziej szczegółowe uregulowanie zawarte jest w ustawie „O godle, barwach i hymnie Rzeczypospolitej Polskiej oraz o pieniądzach państwowych”. Ustawa ta stanowi, że „Godłem Rzeczypospolitej Polskiej jest wizerunek Orła Białego, ze złotą koroną na głowie zwróconej w prawo, z rozwiniętymi skrzydłami, z dziobem i szponami złotymi, umieszczony w czerwonym polu tarczy.”...

JAN PAWICKI



Henryk Zięba (1918 – 2012). Fot. Teresa Mastowska

Henryk Zięba 1918-2012. Syn Ziemi Kieleckiej, urodzony w 1918 r. W 1936 r. na okres kilku miesięcy przyjechał do Kościana, gdzie jednym z udziałowców tutejszej cukrowni był jego wujek. W okresie okupacji pracował w parowozowni w Skarżysku - Kamiennej. Ukończone wcześniej Gimnazjum Jana Kantego w Poznaniu pozwoliło mu na podjęcie po II wojnie światowej stu-

diów na wydziale Budowy Maszyn Politechniki Poznańskiej. Podjął prace na kolei i kontynuował ją, aż do momentu przejścia na emeryturę. W Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych w Poznaniu. Pracował na różnych kierowniczych stanowiskach. Za osiągnięcia w pracy zawodowej otrzymał szereg najwyższych odznaczeń i wyróżnień państwowych, resortowych i regionalnych. Zainteresowania techniczne nie przeszkadzały mu zajmować się historią. Był autorem wielotomowej „Monografii Dyrekcji Kolei w Poznaniu w latach 1848 - 1945 i 1945 – 1992 i następnych”. Jego autorstwa była książka – album „Orły Polskie, rzeźby w drewnie 1222 – 1993”. Jeden egzemplarz tej pracy znalazł się w zbiorach Kancelarii Prezydenta RP. Jego pasją stało się rzeźbienie w drewnie ze szczególnym uwzględnieniem płaskorzeźb naszego godła państwowego. Zostawił ich w spuściźnie ponad 100 sztuk. Był pomysłodawcą i twórcą Izby Pamięci poświęconej dziejom kolei. Największe zadowolenie sprawiało mu ukończenie kolejnego dzieła. Skromna jeszcze kolekcja rzeźb była prezentowana m.in. w kościańskim muzeum 20 lat temu. Tematyka jego prac była przedmiotem wielu

artykułów prasowych, audycji radiowych i telewizyjnych. Henryk Zięba był aktywnym członkiem wielu organizacji i stowarzyszeń Inżynierów i Techników Komunikacji przy Naczelnej Organizacji Technicznej oraz rady artystycznej Klubu Plastyków i Fotografików „Warta”. Zmarł 2 września 2012 r. i został pochowany na Cmentarzu Górczyńskim w Poznaniu.

„Dobosze” Powstania Wielkopolskiego



„Dobosze” wręczał marszałek Marek Woźniak (pierwszy od prawej).
Laureaci: Michał Polak (drugi od prawej), Stefan Barłóg (trzeci) i Andrzej Wieczorek (czwarty)

7 grudnia 2015 r. odbyła się w Poznaniu uroczystość wręczenia nagród „Dobosz Powstania Wielkopolskiego”. Wyróżnieniami uhonorowano: Stefana Barłoga - prezesa honorowego Towarzystwa Pamięci Powstania Wielkopolskiego (wcześniej wieloletniego prezesa Towarzystwa), Andrzeja Wieczorka - regionalistę, znawcę tematyki

powstańczej w gminie Gołańcz oraz prof. dr. hab. Michała Polaka z Politechniki Koszalińskiej historyk, autor licznych publikacji dotyczących Czynu Zbrojnego Wielkopolan oraz losów Powstańców Wielkopolskich na uchodźctwie (profesor jest synem znanego powszechnie, ściśle związanego z Kościanem, prof. dr hab. Bogusława Polaka).

Marszałek Województwa Wielkopolskiego – Marek Woźniak wręczył Odznakę Honorową „Za Zasługi dla Województwa Wielkopolskiego” prof. dr hab. Wiesławowi Hładkiewiczowi z Uniwersytetu Zielonogórskiego, popularyzatorowi problematyki powstańczej i roli, jaką Powstańcy Wielkopolscy odegrali w zagospodarowaniu



Migawka ze spotkania w Odwachu. Mówi Wawrzyniec Wierzejewski; przy stole prezydalnym profesorowie Bogusław Polak i Michał Polak.

Fot. (2x) Zdzisław Kościański

Ziemi Lubuskiej po II wojnie światowej. Nagroda „Dobosz Powstania Wielkopolskiego” została ustanowiona przez Zarząd Główny Towarzystwa Pamięci Powstania Wielkopolskiego w 1996 roku. Przyznawana jest osobom i instytucjom, które w sposób szczególny przyczyniły się do upamiętnienia historii Powstania Wielkopolskiego.

Statuetki „Dobosza” wręczane są co roku w przededniu rocznicy wybuchu Powstania Wielkopolskiego.

Tego samego dnia Komisja Historyczna Zarządu Głównego Towarzystwa Pamięci Powstania Wielkopolskiego 1918-1919 oraz Wielkopolskie Muzeum Niepodległości w poznańskim Odwachu

zorganizowały spotkanie na temat: „Środowisko Powstańców Wielkopolskich 1918 – 1919 r. w Wielkiej Brytanii”. Moderatorem był przewodniczący komisji Historycznej dr Zdzisław Kościański, a głos zabierali Bogusław Polak, Michał Polak i Wawrzyniec Wierzejewski.

(red.)

Dzienniki Macieja Morawskiego (XXIV)

„Życiorysy zwykłe i niezwykłe”



Maciej Morawski z Teresą Mastowską w Parku Miejskim im. Ambasadora Kajetana Morawskiego w Kościanie. Fot. Jerzy Zielonka

Maciej Morawski, były korespondent paryski Radia Wolna Europa, rodem z Jurkowa, od lat systematycznie pisze dzienniki. Większość zapisków zdeponował w Bibliotece Polskiej w Paryżu. Tradycyjne zeszyty poszły w ką, a Maciej Morawski zamienił pióro na klawiaturę komputera. Poniżej drukujemy kolejny odcinek wyjątków z dzienników pisanych w 2015 r. Czytać je można w całości na internetowej stronie: maciej.morawski.blox.pl

30 października

Kilka rozmów z rodakami. Uderza mnie, że pewne z pozoru rozsądne osoby, gdy chodzi o politykę, wpadają w histerię. I są to ludzie bardzo różnych orientacji: histeryzują i jedni i drudzy (na szczęście nie wszyscy. Młodzi wydają mi się być „rozsądniejszymi”). Ojciec przed laty w rozmowach ze mną podkreślał naszą narodową skłonność do wzajemnego mieszania się z błotem, do (rzecz jasna w przenośni) karczemnych awantur. Ojciec był przekonany, że polska skłonność do zażartej kłótności, do nienawidzenia osób o innych poglądach, od wieków narobiła Polsce moc szkód. Niesamowita kłótność, przez wieki brak mocnego państwa, tragiczne liberum veto - wszystko to w końcu dopro-

wadziło do rozbiorów. A jak dobrze pamiętam, po roku 1990 Jerzy Giedroyc ubolewał nad słabością, już wyzwolonego, polskiego państwa. Jesteśmy w teorii narodem na wskroś katolickim, ale wyraźnie szwankuje u nas miłość bliźniego, wyrozumiałość. Przeważa nieraz widzenie ludzi w czarnych barwach, no i skłonność do przypisywania im najgorszego, do podejrzewania ich o nieczyste zamiary.

Gdy chodzi o mnie, to dwóm osobom z miejsca nie spodobało się, że uznałem wizytę prezydenta Andrzeja Dudy w Paryżu za wielce udaną, że jego umiar, styl bycia, „nowoczesność” zrobiły tu znakomite wrażenie, no i to, że w pełni doceniłem jego chęć nowego zacieśnionego dialogu z Polonią, jego troskę o nią - fakt, że docenia jej znaczenie.

31 października

Dowiaduję się od Virydianny z Raczyńskich Reyowej, będącej obecnie w Londynie, że „29 października w tamtejszej ambasadzie RP miała miejsce premiera pierwszego z cyklu krótkometrażowych filmów dokumentalnych produkcji MSZ-tu. Tytuł tego filmu: „Polscy dyplomaci: Edward Raczyński”. W czasie tego wieczoru odbyło się też nadanie imienia sali imienia Edwarda Raczyńskiego

- głównej, reprezentacyjnej sali ambasady. Wydarzenie to rozpoczęło obchody 75. rocznicy przeniesienia Rządu RP na uchodźstwie do Londynu i 25. rocznicę zakończenia jego działalności”. Cieszę się, że odpowiednie czynniki Rządu RP i naszego MSZ wreszcie zajęły się tym tematem, np., że podkreślają ogromną - w moim pojęciu - rolę naszej emigracyjnej dyplomacji skupionej wokół Edwarda Raczyńskiego w walce o wolność Polski.

8 listopada

Jak się dowiaduję, w skansenie filmowym „Soplicowo” - owym tak często przez turystów odwiedzanym ośrodku położonym w powiecie kościańskim (o ile się nie mylę znajdującym się na ziemiach majątku Cichowo, przed wrześniem 1939 roku będącego własnością mej ciotki Aleksandry z Morawskich Bukowieckiej, zamordowanej przez hitlerowców 12 kwietnia 1940 r. w Forcie VII w Poznaniu) - odbyło się ostatnio bardzo godne uwagi spotkanie. Otóż szło o nadanie tegorocznych nagród „za nieprzeciętność” znakomicie redagowanego pisma, jakim są „Wiadomości Kościańskie”. Wśród obecnych laureatów był były prezydent RP Bronisław Komorowski. W gronie wyszczególnionych ową nagrodą znaleźli się między innymi: dzien-

nikarz radia Elka Jarosław Adamek, Grzegorz Konieczny - twórca muzeum gorzelnictwa w słynnej Turwi, niegdyś majątku generała Dezyderego Chłapowskiego, a przed II wojną światową Krzysztofa Morawskiego oraz np. także Michał Szybiak - projektodawca budowy w Bruszczewie mieszalni pasz, która - jako jedyna w Europie - wykorzystuje proces mikronizacji. Nagrodzono też kilka innych bardzo wybitnych osób.

Co do bardzo serdecznie tam witanego Bronisława Komorowskiego - otrzymał on jako nieprzeciętny z odległych stron, nagrodę za wkład w budowę wolnej i demokratycznej Polski „oraz za szereg inicjatyw sprzyjających pielęgnowaniu radości, satysfakcji i dumy z sukcesów jakie odnoszą Polacy”. Jak się dowiaduję, w czasie uroczystości Teresa Masłowska, redaktor prowadząca „Wiadomości Kościańskich” i autorka świetnej książki o mnie („Łącznik z Paryża - rzecz o weteranie zimnej wojny” - która błyskawicznie się rozeszła) wręczyła prezydentowi Komorowskiemu 2 tom moich dzienników „Dwa brzegi”. Uroczystość przebiegła godnie i spokojnie. Jak już pisałem kościańską i ogólnie Wielkopolską cnotą jest rozsądek i umiar, mocne poczucie jedności narodowej ponad podziałami politycznymi danej chwili, wielki szacunek dla każdorazowego prezydenta RP. Kończąc podkreślę, iż „Wiadomości Kościańskie” to pismo na zdumiewająco wysokim poziomie, przynoszące naprawdę ciekawe teksty. Jest to nie tylko moja opinia. Pismo to - stwierdzam ja, stary i bezstronny dziennikarz - zasługuje na ogólnokrajowe wyróżnienie. Dodam tylko, że „Wiadomości” są wcieleniem wielkopolskich cnót patriotycznego umiaru, dialogu ponad podziałami.

10 listopada

Dziś zacznę od krótkiego wyrażenia wielkiej satysfakcji. Otóż dowiaduję się, iż lada dzień ma ukazać się kluczowa, gdy chodzi o najnowszą historię niedawnej polskiej walki o wolność, książka mego dawnego szefa z RWE, Lechosława Gawlikowskiego, przynosząca „zyciorysy zwykłe i niezwykłe” nieżyjących już pracowników Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa - zyciorysy drużyny szturmowej, dla której, jak niegdyś mawiał Jan Nowak, „nie było przeszkód ani złych dróg”; która wywodziła się z Armii Krajowej. Cieszy mnie także to, że promocja tego dzieła ma, staraniem Mariusza Kubika, mieć w miejsce

w Radio Café - w naszym warszawskim Klubie RWE imienia niezapomnianej redaktor Aliny Perth-Grabowskiej.

11 listopada

Docierają tu „poufne” echa z Rzymu. Ponoć prawdziwe poruszenie wywołuje fakt, że już ukazały się dwie książki, donoszące o - ostrożnie mówiąc - złej gestii watykańskich finansów. Teraz ponoć zapowiadane są „rewelacje” dotyczące problemów obyczajowych, w tym - lecz nie tylko - mająca się ukazać w marcu 2016 r. książka Krzysztofa Charamsy rzekomo zapowiadana jako „sensacja”. Papież Franciszek potępia tak zwany Vatileaks 2, to jest wykradzenie oraz opublikowanie tajnych watykańskich dokumentów. Niewątpliwie papież słusznie uważa, że „brudną bieliznę należy prać dyskretnie i we własnym gronie”. Ale problem w tym, że pewna i na szczęście niewielka liczba katolików jest teraz ogarnięta manią „wykładania kawy łąwą”, że mogą się pojawiać nie zawsze do końca prawdziwe rewelacje.

Jak uważają koła na ogół nieźle poinformowane, papież człowiek wielkiej dobroci stanowczo chce zapobiec godzącym w tych czy innych publicznym rozróbom. Chce wiele naprawić, ale nie dopuszczając do, potrzebnych tylko wrogom Kościoła, szkalujących tych czy innych pseudoinformacji. Jedno pewne. Jak w swym numerze z dnia dzisiejszego podkreśla dziennik „Le Monde”, Franciszek obiecuje, że będzie kontynuował swoje prace reformatorskie.

Jak mi mówi jeden z mych rzymskich przyjaciół, jest rzeczą niewątpliwą, że Jezuci - od powstania tego zakonu tak skuteczni słudzy Kościoła - są świadomi trzech rzeczy. Po pierwsze: że jak to miało miejsce w okresie Odrodzenia, świat wchodzi teraz w zupełnie nowy okres, w czasy niesamowitych postępów w różnych dziedzinach nauki, oraz w okres masowej, niemożliwej do kontrolowania informacji internetowej, powodującej, że dziś wszyscy są „na cenzurowanym”, pod kontrolą „czasem rozwydrzonej opinii publicznej”. Po drugie: że niektórzy nie do końca są tego świadomi. Po trzecie: że nasz Kościół, głoszący miłość bliźniego, oparty cudownym dokumencie, jakim jest Ewangelia, świetnie sobie z wyzwaniem nowych czasów poradzi, nawet wejdzie na drogę nowego rozkwitu, a to - bo niesie właściwą odpowiedź na trudne problemy współczesności. Ale dziś jest też wielce istotne, by wszyscy wierzący zachowali

wali godny spokój i zimną krew, by uniknąć potępieńczych rozrób; by wszyscy do końca pojęli, że absolutnym nakazem jest dawać obraz: braterski i zgodny, oraz wysoce skromny.

12 listopada

W czasie oficjalnych paryskich obchodów święta narodowego, 11 listopada doszło do wydarzenia dobrze świadczącego o kulturze politycznej, jak czasem się mówi, o dogłębnie demokratycznej kulturze Francji. Otóż w ten, tak nacechowany patriotyzmem dzień, prezydent Hollande publicznie, na oczach widzów i przedstawicieli prasy, wymienił mocny uścisk dłoni ze swym przeciwnikiem politycznym, byłym prezydentem Nicolasem Sarkozy'm. Hollande następnie wyraził z tego faktu zadowolenie. Stwierdził, że takie patriotyczne ceremonie jednoczą Francuzów ponad podziałami. Powiedział: „Jesteśmy tu wszyscy razem, by czcić wartości Republiki, która należy do nas wszystkich”.

Z kolei przedstawiciele paryskiej Polonii czcili 11 listopada w salonach ambasady RP. Chór Piast odśpiewał Hymn Narodu („twoją rodzinną pieśń” - jak mawiał mój konfrater z Zakonu Maltańskiego, słynny genealog Szymon Konarski, żartobliwie zwany „papieżem” - rzecz w tym, że pochodzę od Dąbrowskiego, i od owej Basi „mówił ojciec do swej Basi... oto nasi biją w tarabany”), chór odśpiewał także „Pierwszą Brygadę”. Ambasador Andrzej Byrt - wartościowy i popularny Wielkopolańin, w przemówieniu złożył hołd pamięci tych, którzy przyczynili się swą patriotyczną działalnością do tego, żeśmy 11 listopada 1918 r. odzyskali niepodległość. Ambasador ku mej radości uwydatnił zasługi dwóch tak czołowych, lecz z sobą poróżnionych rodaków, Romana Dmowskiego i Józefa Piłsudskiego. Ambasador mocno podkreślił, iż Francja w listopadzie 1918 r., jako pierwsza z mocarstw w pełni uznała KNP (Komitet Narodowy Polski), powołany do życia 15 sierpnia 1917 r. w Lozannie przez Romana Dmowskiego.

W czasie ceremonii w ambasadzie przedstawiciel Wojska Polskiego odznaczył dwóch francuskich oficerów oraz dwie bohaterki z AK - jedną z nich była, od lat mi znana, pani Teresa Stolarska. Tegoż dnia poznałem tam miłą żonę Ambasadora Byrta, krewną mych, tak bliskich przyjaciół Libickich.

Wybór i opracowanie
TERESA MASŁOWSKA

Jak zacząłem z „Panoramą”



Rafał w roku 1994 w czasie wywiadu z wojewodą leszczyńskim Zbigniewem Hauptem.

Fot. Sławomir Skrobała

To był długi list. Wydrukowano go – w całości – na łamach „Panoramy Leszczyńskiej” w numerze z 20 listopada 1983. Zaczynał się od „Szanowna Redakcjo” i traktował o kinie. Był komentarzem do tekstu red. Waldemara Klemke, zatytułowanego „Spotkanie z X muzą”, traktującego o kościańskim kinie „Słowianin”. Fakt publikacji był dla mnie zaskoczeniem. Dowiedziałem się o tym podczas przerwy lekcyjnej w Liceum Ogólnokształcącym im. Oskara Kolberga w Kościanie, od mojej wychowawczynie – i równocześnie nauczycielki j. polskiego – Aleksandry Skroban. Ktoś inny też gratulował... No i to właśnie był mój skromny debiut na łamach „PL”. Rezultat nietrudno było przewidzieć: bakcyl został połknięty – posypały się następne listy do gazety i kolejne publikacje.

Pierwszy tekst

Mój pierwszy „poważny” tekst – „poważny”, czyli wydrukowany na stronie dziennikarskiej – pojawił się w „Panoramie” 1 grudnia 1985. Miał tytuł „To cisza krzyczy”. Pisałem o książce Mieczysława Siemieńskiego – „Po tej stronie granicy. Zapis stanu świadomości o polskich narkomanach i narkomanii w Polsce w pierwszej połowie roku 1981”. Siemieński – dziennikarz, autor programów telewizyjnych o uzależnionej

młodzieży, którego poznałem na studenckim obozie w Jankowicach pod Poznaniem – umyślił sobie umieścić w tej książce zdjęcia przedstawiające narkomanów podczas produkcji „kompotu”. To wzbudziło zastrzeżenia cenzury. Siemieński przywiózł na obóz duże pudło z tymi fotografiami. Siedzieliśmy na trawie, on je pokazywał i był bardzo rozżalony, że jakieś urzędaszy nie chcą zezwolić na ich druk. Więc gdy w końcu książka pojawiła się na księgarskich półkach, nie mogłem oprzeć się pokusie, aby o niej coś skrobać. Pomęczyłem się trochę nad maszyną do pisania marki Łucznik i wysłałem „dziełko” do „Panoramy Leszczyńskiej”... Poszło w całości, bez poprawek. No i tak sobie popisywałem przez lat parę.

Pierwszy krok

A że mieszkam w Kościanie i zawsze lubiłem coś tam bazgrolić, to nieuchronnie musiałem trafić na red. Jerzego Zielonkę. Tak się w końcu stało. Za Jego sprawką zostałem któregoś dnia, w drugiej połowie 1990 roku, zaproszony do redakcji „Panoramy Leszczyńskiej”, na rozmowę. Pierwszą osobą, którą spotkałem na piętrze biurowca przy ul. Mickiewicza w Lesznie, był „szalejący reporter” „Panoramy” – red. Robert Lewandowski. Pokazał, gdzie mogę znaleźć Naczelnego – do końca korytarza i na lewo. I znalazłem. Redakcja

była wtedy w trakcie przeprowadzki, wszędzie stały jakieś zakurzone biurka, panowała atmosfera „niepoukładania”. Red. Roman Majewski okazał się być okularnikiem – jak ja – więc od razu poczułem się raźniej. Chyba miałem wtedy jakieś kompleksy... Usiedliśmy przy niewysokiej ławie, i – trzęsąc się z emocji – starałem się odpowiadać w miarę skądnie na zadawane mi pytania. Wypadłem widać pozytywnie, bo za jakiś czas – po załatwieniu mnóstwa formalności w gmazysku Wielkopolskiego Wydawnictwa Prasowego przy ul. Grunwaldzkiej w Poznaniu – otrzymałem angaż na stanowisko aplikanta dziennikarskiego w redakcji „Panoramy Leszczyńskiej”.

Pierwsze boje

I tak otóż – w następstwie wyżej opisanych wydarzeń – stawiłem się pewnego, dokładnie sprecyzowanego przez szefostwo „Panoramy”, dnia na drugim piętrze tzw. pentagonu, czyli biurowca w Lesznie przy ul. Mickiewicza 5, aby zacząć pierwszą w moim życiu – etatową – pracę. Przyznaję się – miałem wtedy solidnego fefra... Przydzielono mi biurko i maszynę do pisania. Biurko było w przechodnim pokoju, a maszyna nie należała do najnowszych. Jak się na przykład naciskało klawisz z literką „ą”, to zawsze się zacinała. Przy „ę” było już

lepiej – zacinęła się sporadycznie, co drugi – trzeci raz...

Na „dzień dobry” zostałem wysłany do komendy wojewódzkiej policji, na ul. 17 Stycznia, aby zebrać informacje o ostatnich wypadkach, do kroniki kryminalnej. Po raz pierwszy przekonałem się wówczas o sile dziennikarskiej legitymacji. Dyżurny policjant na portierni – widząc nadruk na okładce „PRASA” i przeczytawszy, że jestem z „Panoramy Leszczyńskiej” – natychmiast odblokował drzwi. Rozległ się brzęczyk i mogłem wejść, a on rzucił:

- Panie redaktorze, ale żeście fajnie napisali o tym ostatnim żużlu. Wszystko się zgadza. Sam widziałem – Jankowski jechał jak szatan!

Tematu nie podjąłem, bo o meczu nic nie wiedziałem. A przyznać się do tego było wstyd... Najważniejsze, że po godzinie wróciłem do redakcji z policyjnymi newsami: kiedy i co ukradli, gdzie był jaki wypadek, kogo pobili i kto się powiesił. Zanim zacząłem przepisywać notatki, poszedłem do redakcyjnej kuchenki zrobić sobie kawę. Drogę pokazała mi wcześniej Elżbieta Kuśnierek.

- Ale cukier, panie Rafale, to trzeba mieć swój. I pilnować – bo kradną... – uświadomiła.

Nie tyle kradli, co pożyczali, ale... na wieczne oddanie. Cukier wyparowywał zawsze i każdemu. Jak ktoś w redakcji zostawił nieopatrznie torebkę cukru na widocznym miejscu, to za moment nie mógł już jej znaleźć. Winnego nigdy nie udawało się ustalić. A „przerób kawowo – herbaciany” był w redakcji ogromny – pod koniec każdego dnia sarta brudnych szklanek piętrzyła się obok zlewu niczym kościańska góra Ferfeta. No więc bardzo szybko przekonałem się do kawy... bez cukru. I tak mi zostało do dzisiaj, co zresztą sobie chwalebę.

Pierwsza misja

Wezwał mnie Naczelnny. Powiedział: - Jedź do Akwawitu na rozmowę ze Stefanem Grysem. Nie zgadza się z naszym tekstem o największych trucicielach środowiska w Lesznie. Akwawit też tam był wymieniony, a dyrektor Grys twierdzi, że niesłusznie. Załatw szybko. Pilne! Do najbliższego numeru! Pojechałem nie rozumiejąc do końca, że oto mam próbować delikatnie „odkręcić” sprawę.

- Gdyby tu przysłała pani, co ten artykuł napisała, to bym ją od razu

udusił – przyznał szczerze dyrektor.

Ale później było już spokojnie. Wyszło na to, że co prawda firma nie jest bez winy, ale robią wszystko, by truć jak najmniej. Czyli: pisanie o Akwawicie, że jest wrednym trucicielem, to – łagodnie ujmując - nadinterpretacja faktów. Dyrektor pokazał zestawienia, analizy, nawet oprowadził po elektronicznie sterowanej kotłowni i objaśnił działanie filtrów na kominach. Wyszliśmy poza teren zakładu.

- A tutaj – oznajmił w pewnej chwili Stefan Grys, pokazując na zarośnięte chwastami pole, **- zbudujemy pływalnię i hotel. Wielu będzie nam tego zazdrościć...**

Popatrzyłem na chaszczę wokół, na te góry i doliny, gdzie łatwo było złamać sobie nogę i pomyślałem, że żartuje. Jaka pływalnia? Jaki hotel? Po latach okazało się, że wcale wówczas nie żartowałem.

Pierwszy cudotwórca

Na początku lat 90-tych palenie papierosów w redakcji było na porządku dziennym. Kopcono ostro. Pełne petów popielniczki – to normalny widok. Czasem w powietrzu był taki smog, że przysłowio- wą siekierę można by było powiesić. Sam też sobie popalałem... A że nastała akurat moda i pogoda na najróżniejszych speców od medycyny niekonwencjonalnej, uwalniających ponoć bliźnich od wszelkich przypadłości, takiz musiał trafić i do „Panoramy”. I trafił. Bioenergoterapeuta – omińmy jego nazwisko – uparł się, że uwolni nas od tytoniowego nałogu. Seans odbył się w pomieszczeniu z komputerami.

Cudotwórca najpierw zdjął marynarkę.

- Teraz – oznajmił władczo – **łapiemy się za ręce i tworzymy koło. Proszę zachować spokój. Pełne skupienie.**

Utworzyliśmy więc koło.

- Uwaga, zaraz nastąpi przesłanie energii – zapowiedział.

Zapanowała cisza. Po pełnej napięcia minucie czy dwóch, nasz terapeuta oznajmił:

- Otrzymałem sygnał zwrotny. Seans zakończył się powodzeniem.

Po czym osunął się na fotel, rozluźniając gwałtownie krawat. Wyglądało to tak dramatycznie, że co niektórzy zaczęli się w te pędy zastanawiać, czy aby nie wezwać do bioenergoterapeuty pogotowia. Gdy gość demonstracyjnie dochodził do siebie, jedna z naszych koleżanek – namiętna

palaczka, poddana przed momentem kuracji rzekomo uwalniającej od nałogu – zakłęta:

- (.....) a teraz idę sobie zapalić!

Jak powiedziała, tak i zrobiła. Nic mi nie wiadomo, aby ów pamiętny seans przywrócił kogoś na drogę beznikotynowej cnoty.

Pierwszy falstart

To był wtorek – dzień mojego redakcyjnego dyżuru. Wczesna jesień 1991, padało. Rano spokojnie – kilka telefonów od czytelników, ktoś przyszedł poskarżyć się na psa sąsiadów - ale koło dziesiątej nastąpiło coś na podobieństwo trzęsienia ziemi. Oto najpierw otworzyły się z hukiem drzwi, a za chwilę wpadł do pokoju jeden z naszych fotoreporterów – Czesiu Mielcarek.

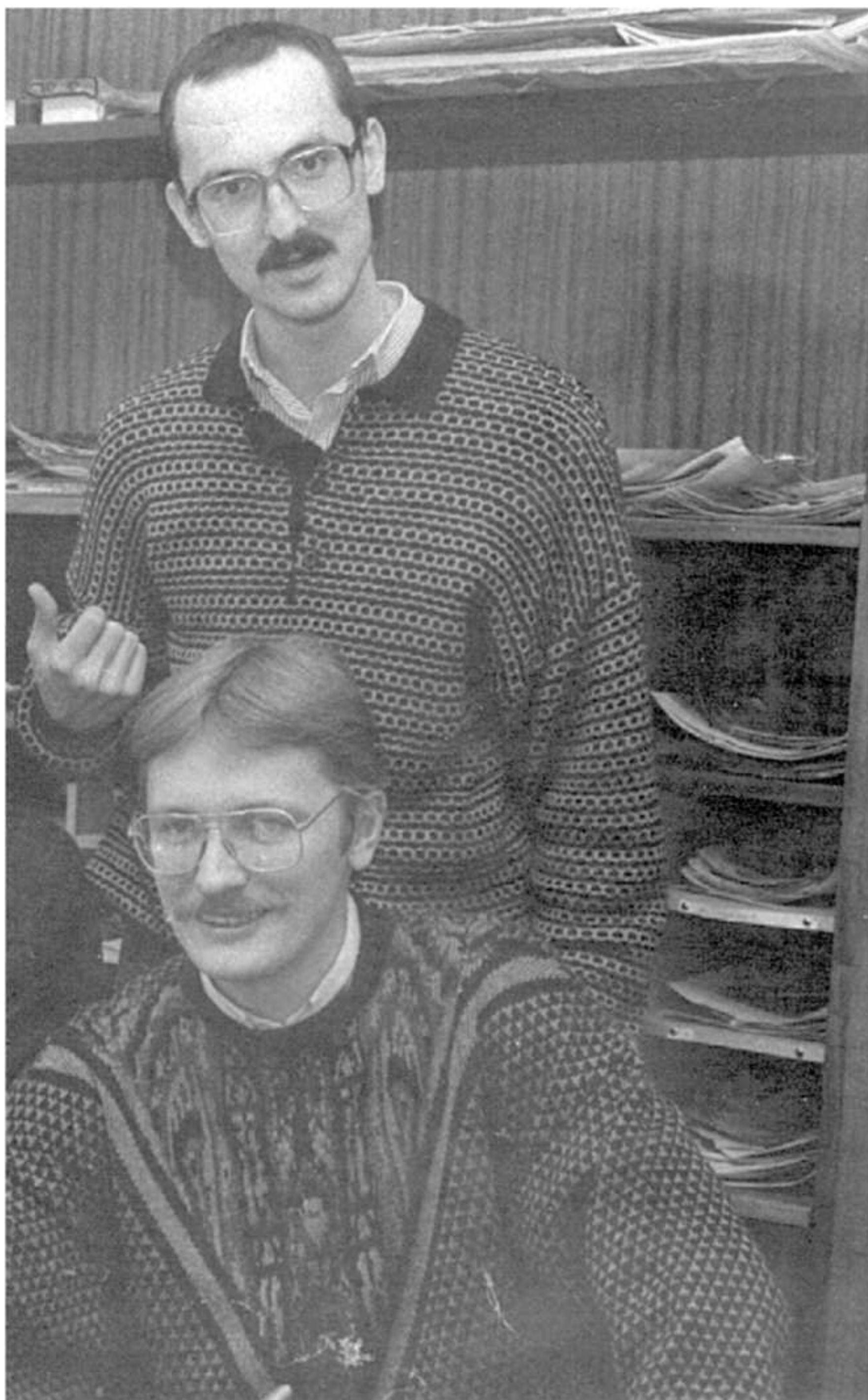
- Rafał, ale afera! – krzyczy od progu. **- Tacy jedni zrobili w sobotę wesele w knajpie, a teraz nie chcą zapłacić! Chodź, lecimy! Masz materiał na „jedynekę”!**

Pognałem z Czesiem do znanej w Lesznie restauracji. On z aparatem fotograficznym, ja z notatnikiem i dyktafonem. Oczywiście wyobraźni widziałem już tytuł na pierwszej stronie najbliższego wydania „PL”: „Nowożeńcy – oszustami” lub „Weselisko za darmo”. Kierowniczką na nasz widok zdrętwiała. Błagała nas, aby sprawie nie nadawać rozgłosu, bo „akurat się z młodymi dogadują” i „szybko powinno wszystko być dobrze”. Nabrała wody w usta – żadnych szczegółów sprawy nie zdradzi. W tym momencie marzenie o artykule, który stanie się hitem numeru pękło niczym bańka mydlana.

Gdy desperacko próbowałem nakłonić szefową do mówienia, Czesiu niespodziewanie się gdzieś ulotnił. Odnalazłem go na głównej sali restauracyjnej. Zamówił po setce czystej, którą kazał dolać do gorącej, ocukrzanej wody. To miała być rekompensata za nieudaną akcję. Czesiowi się to zresztą opłaciło, bo zrzekłem się zawartości mojej szklanki i w ten sposób mógł opróżnić dwie.

Pierwsze odejście

Marcin Rydlewicz mógłby być moim dziadkiem. Zajmował się sportem. Przychodził do redakcji w każdy poniedziałek. Z brązowej teczki wyjmował elegancko opakowane sznytki i – po małym kęsie oraz łyku herbaty - zabierał się do przeglądania gazet. Później dzwonił do klubów w różnych krańcach województwa leszczyń-



Dwaj kościaniacy w redakcji „Panoramy Leszczyńskiej”:
red. red. Rafał Frąckowiak i Marek Szymański.

Fot. Bogdan Ludowicz

skiego, pytając o ostatnie wydarzenia, wyniki. Z tego powstawały mniejsze lub większe notatki, zamieszczane później na sportowych kolumnach najbliższego wydania „Panoramy”.

Pan Marcin zadziwiał mnie spokojem, niebywałym dystansem do świata. Było to dla mnie czymś zagadkowym. Do czasu. Przypadkowo dowiedziałem się, że Marcin

Rydlawicz – działacz przedwojennej harcerskiej „Czarnej Siódemki” był więźniem Gestapo i w październiku 1939 roku, w początkach okupacji hitlerowskiej w ostatniej chwili uniknął rozstrzelania pod murem więzienia na placu Kościuszki w Lesznie. I wtedy zrozumiałem, dlaczego jest w Nim tyle pokory wobec tego, co wokół...

- Niech pan o tym napisze – powiedział pewnego dnia, dając mi kilka kartek maszynopisu z historią klubu z Pogorzeli. – Oni mają zaraz jubileusz, a ja już tyle razy o nich pisałem, że starczy. Czas na młode pióra.

Napisałem długi tekst. To był mój debiut na sportowej kolumnie „Panoramy”. Zmienacka Marcin przestał pojawiać się co poniedziałek w redakcji. Zachorował na dobre. I stało się. Odszedł w kwietniu 1992 roku. Kiedy żegnaliśmy Go na cmentarzu przy ul. Kąkolewskiej w Lesznie, była wspaniała, wiosenna pogoda. Chciało się żyć... Pierwsza śmierć w pierwszej pracy – tego się nie zapomina.

Pierwszy kop

Dostałem od szefostwa zadanie, by pojechać do G. i napisać tekst o pielęgniarce, która popełniła samobójstwo topiąc się w Baryczy. Tragiczna historia zawiedzionej miłości. Zebranie materiałów zabrało mi ładnych parę godzin. Chodziłem po różnych miejscach, rozmawiałem, przeglądałem policyjne akta i szukałem odpowiedzi na pytanie – dlaczego to zrobiła? Po powrocie do redakcji usiadłem przy maszynie i - nagle - poczułem się totalnie rozbity, psychicznie skopany. Nie mogłem ruszyć ani ręką, ani nogą. Jakby nagle uciekło ze mnie powietrze...Niemość. Musiałem wyglądać fatalnie, bo red. Jurek Zielonka – wspólnie z sekretarzem redakcji Elą Kuśnierek – natychmiast zaordynowali mi herbatę z rumem. Dostałem polecenie służbowe, aby niezwłocznie szklankę opróżnić i odłożyć pisanie tekstu do jutra. Tak też zrobiłem. To mnie uratowało.

*

Redakcyjne życie w „Panoramie Leszczyńskiej” zawsze bywało – i wciąż bywa! - tak zajmujące, że aż prosi się o jego uwiecznienie. Zresztą – już coś w tym kierunku się robi... I dobrze. Trzeba utrwalać pamięć o ważnych wydarzeniach w dziejach gazety, o ludziach, którzy w niej pisali i ją tworzyli, w niej piszą i ją tworzą, o tych, którzy nas czytali i czytają. Wszak słowa szybko ulatują, ludzie odchodzą, a druk pozostaje na lata.

†**RAFAŁ FRĄCKOWIAK**

* Red. Rafał Frąckowiak zmarł w Kościanie 11 grudnia 2015 r. Miał 50 lat. Tekst został napisany w kwietniu 2004 r. i publikowany jest po raz pierwszy.

Od kilku lat w lutową sobotę Kościan przenosi się w czasie do lat 1918/1919 zamieniając się w miasteczko powstańcze. Podstawowym motywem gry miejskiej „Kryptonim Wolność”, która na dobre wrosła w kalendarz najciekawszych wydarzeń miasta jest zuchwały wypad kościańskich skautów po broń zmagazynowaną w pruskim arsenale. Z artystą plastykiem, absolwentem Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu - Wojciechem Nawrotem, autorem koncepcji i współorganizatorem historycznej rozmawia Teresa Masłowska.

Powstańcza gra miejska w Kościanie to był pański pomysł. Dlaczego tutaj?

- Mieszkam w Poznaniu, ale urodziłem się w Kościanie; z tym miastem jestem emocjonalnie związany. Od dawna interesuję się lokalną historią. Pomyślałem, żeby ubarwić świętowanie czynu powstańczego kościaniaków czymś więcej niż standardowym kwiatkiem pod pomnikami czy okazijnymi koncertami. Skoro w Poznaniu mogą niekonwencjonalnie obchodzić rocznice, dlaczego u nas nie spróbować czegoś nowego. Od liceum fascynowały mnie gry terenowe, pomyślałem, że to może być bardzo dobry pomysł, żeby zaangażować uczestników, niech ruszą w miasto poznawać historię. Przedstawiłem pomysł władzom miasta. Rozmawiałem z burmistrzem Jurgą i wiceburmistrzem Kasprzakiem, którzy temat podjęli, poparli i tak ruszyła gra miejska „Kryptonim Wolność”.

To dobra zabawa, choć nie tylko.

- Zabawa jest nośnikiem głębszych treści. Próbujemy tą drogą w atrakcyjny sposób przekazywać wiedzę historyczną i zainteresować młodzież tradycjami powstańczymi. Gra przybliża realia czasów, a których nasi przodkowie wybijali się na niepodległość; kształtuje



Wojciech Nawrot w swoim żywiole

poczucie patriotycznej dumy. Dotyczy to także dorosłych. W lutym 2016 roku zostanie rozegrana piąta edycja gry. Władze miejskie przygotowują wiele nowych atrakcji. Uczestników i obserwatorów tego wydarzenia przybywa z roku na rok.

A nie było łatwo...

- Wszystko co nowe wymaga czasu. Początki były trudne. Pierwszej edycji towarzyszyło zimno, rozpętała się okropna śnieżycyca, wiele osób nie dojechało. Mieliśmy trochę tak zwanych larpowców (od ang. live action role-playing tzn. uczestnicy aktorzy – dop. TM), ogółem kilkudziesięciu uczestników. Do tego spotykaliśmy się zrazu także z dziwnymi reakcjami mieszkańców. Grałem jednego z

dowódców plutonu Rezerwy Skautowej Janusza Czaplickiego, który wpuszczał skautów do pruskiego arsenału, czyli do kościańskiego „Sanatorium”. Umundurowany, w hełmie i z karabinem przechadzałem się po chodniku. Starsza pani przejeżdżała rowerem i zwróciła się do mnie z pretensjami: - Oj, złe wspomnienia z dzieciństwa pan u mnie przywołał. Wyprzedzając dalszą jej opowieść o hitlerowcach, odezwałem się: - No, pani na pewno nie jest w takim wieku, żeby pamiętać wojnę! Zacząłem wyjaśniać, że to inny mundur, tylko hełm jest podobny do niemieckiego. Zresztą do dzisiaj polskie wojska używają podobnego. Hełmy żołnierzy generała Maczka były takie same tylko zielone, a niemieckie szare. Co tu dużo mówić, sami Niemcy się mylili. Reakcje na nas są różne, co świadczy, że działania propagujące wydarzenia historyczne są wciąż potrzebne.

Organizowaliście lekcje historii w szkołach.

- Tak, wspólnie z Michałem Krzyżaniakiem, kustoszem Muzeum Powstańców Wielkopolskich im. Generała Józefa Dowbora-Muśnickiego w Lusowie, prowadziliśmy lekcje „żywej historii”. Opowiadaliśmy o powstaniu wielkopolskim, o powstańcach, ich umundurowaniu i broni. Mówiliśmy, że - prosto z powstania - wielkopolscy żołnierze szli bić się z bolszewikami. Oczywiście wspominaliśmy o zbliżającej się rocznicy podpisania rozejmu w Trewirze (kościńska gra odbywa się w okolicach rocznic rozejmu trewirskiego). To było niesamowite przeżycie, lekcje zostały bardzo dobrze odebrane przez uczniów, którzy z zainteresowaniem dopytywali o szczegóły.

Uczniów historia interesuje?

- Pewnie, że interesuje. Wszystko zależy, jak jest przekazywana. Gra



Drużyna przechodzi próbę

miejska jest zabawą, a więc bawi, ale także uczy samodzielności w myśleniu, wyszukiwania i rozumienia informacji historycznych itd. Z samodzielnością bywa jeszcze różnie. Zdarza się, że nauczyciele, opiekunowie - jako dowódcy drużyn, biorących udział w grze - sami wykonują zadania, zamiast pozwolić to robić młodym. Drużyna powinna samodzielnie pracować. Kiedyś otrzymaliśmy reprimendę, że dajemy za trudne zadania - chodziło o imię patrona kościańskiej Rezerwy Skautowej i dzisiejszej harcerskiej drużyny kościańskiej, czyli Jana III Sobieskiego. A przecież wszystkie odpowiedzi na pytania znajdowały się w miejscowym muzeum, które w kryptonimie „Wolność” odgrywa ważną rolę. Zależy nam na tym, żeby dziecko odwiedziło muzeum, zainteresowało się ekspozycją i znalazło odpowiedź. Kolejne edycje gry przynoszą poprawę - uczy myślenia wszyscy.

Są drużyny, które „krążą” po Kościanie wykonując zlecane zadania. Część miasta przyjmuje

wygląd przypominający czasy powstania. Są też wspomniani larpowcy - a więc amatorzy - aktorzy, którzy odgrywają określone role.

- W pierwszej edycji, kiedy nastawienie do gry miejskiej było różne, często z dystansem, nie myśleliśmy jeszcze poważnie o larpach, ale pomysł się spodobał, otrzymaliśmy pełne wsparcie władz miejskich i pomyśleliśmy, że trzeba się rozwijać także w tym kierunku. Występują ludzie w strojach tamtej epoki, znane postacie w mundurach i z bronią, sanitariuszki itd. Wspiera nas Kościański Ośrodek Kultury. Co roku Kryptonim „Wolność” rozwija się i otrzymuje coraz lepszą oprawę. Gra stała się istotnym wydarzeniem w życiu publicznym miasta.

Gwoli historycznej prawdy w tak zwanej scenografii gry powinny występować postacie dobre i złe.

- Oczywiście. Jest prawda historyczna i prawda ekranu. Trzeba między nimi zachować odpowiednie proporcje. Przesady ludzie nie akceptu-

ją. Trudno, żeby larpowcy przebrani za Prusaków bili przechodniów. Zanim zrobiliśmy grę, w Kościanie spotkałem się z opinią, że powstanie przebiegało tak, że Polacy spotkali się z Niemcami, wypili piwo, tamci oddali władzę i na tym się skończyło. A trzeba pamiętać, że w powstaniu używano gazów trujących, Niemcy bombardowali wioski, jeńcy byli różnie traktowani przez obie strony. Styl prowadzenia walki zwłaszcza przez Niemców był okrutny. Po pierwszej wojnie światowej mało kto chciał jeszcze walczyć. Żołnierze mieli już dosyć wiru wojny, zabijania się nawzajem. Do tłumienia powstania użyto głównie ludzi ze straży granicznej, czyli Grenzschutzu, którzy nienawidzili Polaków, chcieli im pokazać, kto tu rządzi, stąd okrucieństwo i tortury. To prawda - w grze muszą pojawić się także ci źli, ale bez przesady.

Jednym z pasjonatów gry, zarazem znawcą problemów barwy i broni - jest miejscowy ksiądz Krystian Frąckowiak.



Ksiądz Krystian na posterunku

- Ks. Krystian jest naszym fanem. Wczuwa się w rolę, nie robi niczego połowicznie, ostatnio otrzymał rolę majora Heimanna, pruskiego komendanta Kościana. Musiał odegrać swoją rolę tak, żeby było trochę emocji. W Kościanie jednak nie było rozlewu krwi, więc nie ma co napinać sytuacji, Niemcy wprawdzie próbowali walczyć, ale akcję na arsenał tak sprawnie przeprowadzono, że chociaż mieli liczącą przewagę, to zostali prawie bez broni i po burzliwych rozmowach poddali się.

Tego dnia ulice wypełniają się powstańcami, niemieckimi żołnierzami, ale i wyższą szarżą.

- Tak, nawet znaczni goście, którzy do nas przyjeżdżają, ubierają się w mundury i bardzo pozytywnie zapamiętują udział w grze oraz nasze miasto. Mundury są z wypożyczalni. Zapotrzebowanie jest na różne rozmiary. Pilnujemy, żeby nie podkradano sobie poszczególnych części garderoby. Zdarzyło się, że ktoś zabrał spodnie od jednego munduru, a marynarkę od innego, więc

komuś zostały przykrótkie portki, z kolei jednemu z ważniejszych aktorów pękły spodnie, bo ktoś mu je „podprowadził” i dostał te, które zostały. Niektórzy marudzą, że władza się bawi, przebiera, ale uważam to za świetny sposób na zachęcenie mieszkańców Kościana do udziału w grze.

*

Od pewnego czasu w Polsce powstają grupy na wzór przedwojennych batalionów obrony narodowej czy amerykańskiej gwardii narodowej, podobno też macie zamiar bawić się w partyzantów.

- Przy okazji gry miejskiej powstało stowarzyszenie nawiązujące do kościańskiej Rezerwy Skautowej pod nazwą Stowarzyszenie Strzelecko-Historyczne „Rezerwa Skautowa”. Dla laika jest to trochę zabawne, ale konflikt na Ukrainie pokazał, kto tam najwięcej zdziałał. To nie było wojsko, które miało związane ręce, tylko ludzie, którzy chwycili za broń i sami zaczęli się bronić. To były organizacje paramilitarne skupiające ludzi, którzy się systematycznie umawiają i strzelają w

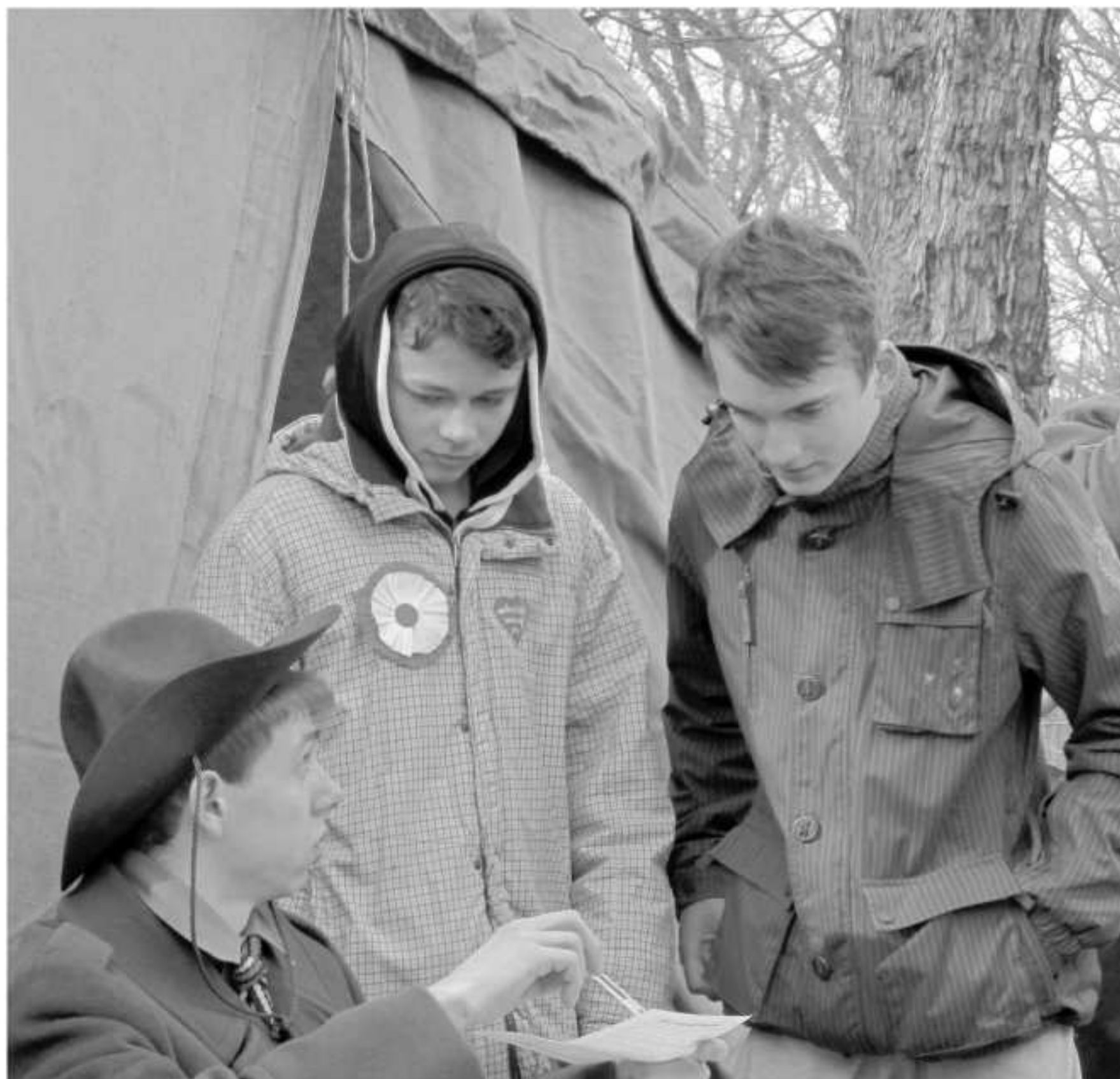
lesie. Może i lubią przebierać się w mundury, udawać żołnierzy, ale tworzą potencjał niewykorzystany przez nasz kraj.

Ministerstwo Obrony Narodowej nie interesuje się wami.

- Podobno ma się to zmienić w najbliższym czasie, bardziej sformalizować, paramilitarne grupy zostaną włączone w struktury wojskowe. Współpraca z wojskiem różnie wygląda. Wiem to z doświadczenia, bo kilka lat z nimi współpracowaliśmy. To są też ludzie, nie chce im się wykonywać dodatkowej roboty, zazwyczaj są niechętni kontaktom z cywilami. Ale bywają wśród nich także bardzo zaangażowani w tzw. obronę cywilną.

Czym stowarzyszenie „Rezerwa Skautowa” ma się zajmować?

- Zamierzamy stworzyć dwie grupy: historyczną, związaną z grą miejską i wojskową dla zainteresowanych sprawami wojskowymi, którzy później chcą zaistnieć w strukturach wojskowych, policyjnych. W narodzie jest



Narada w drużynie. Fot. (4x) Teresa Masłowska

duża odpowiedzialność za sprawy obronne kraju, ale – jak już powiedziałem – nie jest wykorzystana przez państwo. Zawodowa armia liczy około 100 tys. żołnierzy, którzy nie są w stanie obronić granic kraju w razie niebezpieczeństwa. Proces szkolenia wojskowych jest złożony i dotyczy małej grupy. Do utworzonych Narodowych Sił Rezerwowych też nie każdy może się dostać, a potencjał w grupach paramilitarnych jest duży.

W pana rodzinie byli, i powstańcy wielkopolski, i żołnierz Armii Krajowej.

- Pradziadek Władysław Grześkowiak poszedł do powstania jak miał 17 lat. W szeregach Kompanii Kiełczewskiej odpierał atak pociągu pancernego, potem walczył w wojnie polsko-bolszewickiej. Znał go redaktor Zielonka i opowiedział mi o nim taką historię: Na spotkaniu z młodzieżą w latach siedemdziesiątych w auli liceum pradziadek opowiadał o powstaniu wielkopolskim. Jak się zapalił to kontynuował, jak to oni tych bolszewików prali, siekli i tłukli. W kuluarach jakiś partyjniak

narzekał do ówczesnego szefa SB: - Towarzyszu, przecież tak nie można, co ten człowiek opowiada! Szef na to: - Dajcie spokój towarzyszu, mój dziadek jeszcze gorsze rzeczy gada...

Mój dziadek Franciszek Nawrot bił się ze wszystkimi w drugiej wojnie światowej. Zaczął od Rosjan na Wołyniu, a że był w Korpusie Ochrony Pogranicza, to wycofali się i zanim złożyli broń, walczył jako żołnierz ZWZ/AK jeszcze z Niemcami. Potem były potyczki z UPA, a po pokonaniu Niemców z II Armią Wojska Polskiego dotarł do Kościana. Był kościelnym, kominiarzem, komendantem OSP, zwolnili go po tym, jak odmówił podpisania protestu przeciwko orędziu polskich biskupów do niemieckich, w którym pisali „przebaczamy i prosimy o przebaczenie...”.

*

Mówi się, że występował pan w kontrowersyjnej „Hiszpance”?

- Do „Hiszpanki”, która wizualnie jest pięknym filmem, nie załapałem się, chociaż chciałem. Największa produkcja, w której uczestniczyłem to „1920. Bitwa Warszawska”. Nad tym filmem

pracował światowej sławy Sławomir Idziak, muzykę napisał wybitny kompozytor Krzesimir Dębski. Sami się do tego filmu jako grupa rekonstrukcyjna wprosililiśmy, bo kilka lat temu w Polsce było niewiele grup odtwarzających ten okres historyczny, czyli udział wojsk wielkopolskich w bitwie warszawskiej. Ten film to dużo straconych pieniędzy i jeszcze więcej możliwości.

A na planie filmowym?

- Okazało się, że eksperci filmowi mają blade, jeśli nie zerowe, pojęcie o wojskach wielkopolskich. Niestety, filmy są obstawione przez tzw. warszawkę, która uważa, że wszystko wie najlepiej. Na początku zgłosili się do nas, ale nie po ludzi, tylko po sprzęt, którego trochę uzbieraliśmy. Postawiliśmy warunek; sprzęt jedzie tylko z ludźmi. Sceny kręcono w miejscowości Poświętne, pod Warszawą. Ulubione miejsce filmowców. Stoi tam kościół, który ongiś odegrał klasztor, gdzie na pobliskim drzewie wylądował Franek Dolaś z serialu „Jak rozpętałem II wojnę światową”. Także tam kręcono „Hubala”, „Katyń” i „Czterech pancernych”. Było nas prawie dwudziestu z grupy „3 Bastion Grollmann”. W pełni umundurowani stawiliśmy się na planie filmowym, ustawiliśmy w rzędzie, a filmowy specjalista od wojska poczuł się chyba jak stary trep, bo zaczął nas musztrować. Kazał np. wyrzucić hełmy. Hełm dla żołnierza to podstawa, ale że to były pruskie hełmy to kazał je wyrzucić, bo polski widz tego nie zrozumie. Upieraliśmy się, żeby chociaż obsługa karabinu miała hełm, a i tak to biegaliśmy w rogatywkach. Poza wszystkim trzeba przyznać, że zabawa na planie filmowym jest przednia; w przerwach wyciągaliśmy karty albo kości i graliśmy na niemieckie marki. Podchodził facet z kamerą i kręcił, pytał się czy te marki są prawdziwe. W każdym razie nie ma się co dziwić, że potem filmy roją się od gaf historycznych. Jak oglądaliśmy surówkę filmu, to sceny batalistyczne były rewelacyjne, ale potem montaż wszystko położył.

Na kościańską grę miejską „warszawka” wpływu nie ma, więc tu wszystko jest i będzie zgodnie z historią i tradycją.

- Zapewniam.

Dziękuję za rozmowę.

TERESA MASŁOWSKA



W obecnej księgarni Fot. Katarzyna Żurek

13 grudnia przypada Dzień Księgarza. W większych miastach, coraz częściej miejsce małych i sympatycznych księgarni zajmują duże sklepy sieciowe. Klient traktowany jest jak typowy konsument. Nieważne co lubi i o czym myśli. Ważne, by kupił towar, jakim w tym przypadku jest książka. A jednak książki to produkt szczególny. Wchodząc do księgarni uzmysławiamy sobie, że na półkach i regałach leży wieloletni dorobek naszej kultury. Dlatego książka wymaga szacunku, a jej sprzedaż indywidualnego podejścia do klienta - czytelnika. Bo klient w księgarni to przede wszystkim czytelnik i to wie każdy prawdziwy księgarz. O życiu wśród książek, ludziach, których spotkała na swojej drodze zawodowej z Janiną Grupą, współwłaścicielką jednej z kościańskich księgarni, rozmawia Katarzyna Żurek.

Życie zawodowe spędziła pani rozmawiając o książkach, czytając, przeglądając, układając różne tytuły na regałach.

- W księgarni pracuję już ponad pięćdziesiąt lat. Do dzisiaj to zajęcie mnie fascynuje i napędza. Nie wyobrażam sobie innego życia. Mam dużo szczęścia, że robię to, co kocham.

Skąd wzięła się miłość do książek, do czytania?

- W rodzinnym domu książek specjalnie nie było. To były inne czasy. Rodzice myśleli przede wszystkim, aby zapewnić nam byt. Mój ojciec był robotnikiem, mama zajmowała się gospodarstwem. Poza tym, literatura była towarem deficytowym. Niewielu ludzi mogło sobie pozwolić na zakup książek. Nie znaczy to, że nie czytaliśmy. Zwłaszcza mój ojciec był bardzo odcytany. Mieszkał w Lubiniu. Zgłębił całą bibliotekę klasztoru benedyk-

tyńskiego. Kochał literaturę, czytał mnie i mojej siostrze jak byśmy były dziećmi. Tak mnie tą fascynacją zaraził, że czytałam chodząc po ulicy. Pewnego dnia tak się zapomniałam, że wpadłam na słup i rozbiłam głowę. Na szczęście nie był to groźny wypadek.

Dzisiaj prowadzi pani działalność prywatną, a swoją przygodę z księgarstwem zaczynała pani, kiedy sprzedaż i dystrybucja książek zmonopolizowana była przez państwo.

- Rozpoczęłam pracę 15 kwietnia 1962 r. W Kościanie była wówczas jedna księgarnia, mieściła się na Rynku pod nr 5. Podlegaliśmy pod „Dom Książki” w Poznaniu. To była nasza dyrekcja. Kiedy zaczynałam, polityka państwa w tym zakresie była już znacznie bardziej liberalna, niż kilka lat wcześniej. Pojawiało się coraz więcej przekładów z języków zachodnich, literatura popularna, sensacyj-



Janina Grupa (z lewej) z Bronisławą Cichoszewską. Fotografia archiwalna

na, romanse. Zaczęło się coś dziać na rynku księgarskim.

Kto wprowadzał panią w tajniki pracy księgarskiej?

- Byłam bardzo młodą dziewczyną. Nie miałam zielonego pojęcia o pracy z książką. Kierowniczką księgarni była Danuta Walkowiak. Bardzo mi imponowała wiedzą i elegancją. Polubiłyśmy się. Pani Danka umiała przekazać swoją wiedzę. Choć zdawałam sobie sprawę, że przede mną długa droga, nie zraziłam się. Do opanowania było 26 działów bibliograficznych; jak na tamte czasy przystało - od leninizmu zaczynając, na religioznawstwie kończąc. Przychodziła książka, a my na podstawie krótkiej recenzji musiałyśmy ją zakwalifikować do poszczególnej dziedziny. To był ogrom informacji. Po trzech miesiącach, udałam się na egzamin do Poznania. Prócz wiedzy księgarskiej musiałam wykazać się również umiejętnościami matematycznymi. Nie było wówczas kalkulatorów, komputerów. Egzamin zdałam śpiewająco. Dyrektor pogratulował mi i powiedział, że mogę jechać do Kościana, powiedzieć koleżance, że jestem przyjęta.

Początkowo w Kościanie była jedna księgarnia. Odkąd pamiętam funkcjonują dwie. Czy taka konkurencja nie jest utrudnieniem? Jak układała się współpraca między wami?

- My, kościańscy księgarze, wszyscy

razem zaczynaliśmy, dobrze nam się współpracowało i zawsze szanowaliśmy się wzajemnie. Pani Danka odeszła z księgarni w 1963 r. Na jej miejsce przyszedł Bogdan Cichoszewski. Tak się poznaliśmy. W 1974 r. otwarto nową, dużą księgarnię na Wałach Żegockiego. Tam pracowałam z Bogdanem oraz Bronką Cichoszewską. Podobnie jak ja, byli to ludzie, którzy kochali to, co robią. Uwielbiali książki, czytelników, rozmowy z nimi. Niedługo po tym, zaproponowano mi kierownictwo w księgarni na Rynku. Długo się wahałam, ale w końcu zgodziłam się. W 1975 r. wróciłam na Rynek. W kwietniu tego samego roku przyszła do pracy Barbara Talarczyk. Nie mogłam lepiej trafić. Z Basią pracuję do dziś. Do października 1990 r. prowadziłyśmy księgarnię państwową. Kiedy przyszedł czas na zmianę, zdecydowałyśmy się na działalność prywatną. Było dużo pracy i czasami bywało ciężko, nigdy jednak nie żałowałam swoich decyzji. Ciężkie chwile miałyśmy w 2010 r., kiedy przenosiłyśmy księgarnię z Rynku do lokalu tuż przy sklepie sportowym. Były chwile wątplenia czy to się przyjmie, czy klienci do nas trafią. Ale jak ktoś się do kogoś i do czegoś przyzwyczai to będzie tego szukał. Nasi klienci nas znaleźli.

Dzisiaj są komputery, specjalne programy do obliczania sprzedaży, magazynowania, katalogowania książek. Kiedyś trzeba było dokładnie wiedzieć,

gdzie znajduje się dana książka, czy na pewno jest. Nieustannie kontrolować, sprawdzać, czego brakuje, ile książek zamówić a które się nie sprzedają.

- Pracy było dużo, bardzo dużo. Dzisiaj mogę usiąść, wypić kawę, dłużej porozmawiać z klientem. Kiedyś to była gonitwa. W tamtym okresie nie było czasu na urlop, toteż nigdy go nie miałam. Razem z Basią zaopatrywałyśmy 74 szkoły w powiecie. Na podłodze rozkładałyśmy wielką płachtę, na którą nanosiłyśmy dane każdej szkoły, ile jest w niej klas, ile trzeba będzie dostarczyć książek. To podliczenie wysyłałyśmy do kuratorium, które ewentualnie korygowało błędy. Na Rynek przyjeżdżał Star, rzucał 300 – 400 paczek. My to wszystko wносиłyśmy do księgarni, układałyśmy, rozdzielaliśmy. W księgarni ruch był praktycznie cały rok. Jedynie w styczniu był martwy sezon. W marcu szykowało się już książki na święta wielkanocne i komunie. Czerwiec, lipiec, sierpień, wrzesień to były podręczniki do szkoły. Kończył się październik i już myślało się o Gwiazdce.

Co zmieniło się od tego czasu?

- Dużo się zmieniło. Książka spowszechniała. Nie traktujemy jej z szacunkiem, tak jak kiedyś. Może dlatego, że dziś wiedzę i informacje możemy znaleźć z taką łatwością w Internecie. Słowo drukowane na tym traci. Modne są e-booki. Ludzie mniej czytają. Tradycyjne księgarnie powoli znikają. Jak widzę książkę sprzedawaną w supermarkecie ogarnia mnie smutek. Myślę wówczas, że zawód księgarza jest spychany przez zawód handlowca. A to nie o to chodzi. Książka to rzecz, która powinna być traktowana z odpowiednią kulturą. To nasze dziedzictwo. Moi mentorzy zawsze mnie uczyli – książka powinna być owinięta w papier, przewiązana sznureczkiem i podana do rąk klienta.

Księgarz to ginący zawód?

- Mam nadzieję, że nie. Księgarstwo na dobre się skończy albo na nowo się odrodzi. Może w innej formie niż dotychczas. Może trzeba będzie szukać innych rozwiązań. W dobie komputerów, Internetu ludziom zacznie brakować bezpośredniego kontaktu z drugim człowiekiem, żywej dyskusji, wymiany zdań, kartkowania stron, zapachu farby drukarskiej.

Dziękuję za rozmowę.

KATARZYNA ŻUREK

„Mamusi, jest Gwiazda”

Boże Narodzenie
we wspomnieniach
Adama Tomaszewskiego



*Adam Tomaszewski w swoim mieszkaniu w Toronto.
Fot. ze zbiorów Jerzego Zielonki*

W kuchni dziś jakoś inaczej. W gorączkowej krzątaninie jest coś z namaszczenia, z jakim alchemik chodzi koło swych tygli. W nozdrza biją esencjonalne wonie, korzenne i drażniące. Oczy pasą kształtem, barwą, konsystencją produktów siekanych, krajanych, ubijanych. Bulgoce wrzątek pod pokry-

wą sagana, gdzie pod pokładami włoszczyzny gotuje się łeb szczupaka w asystencji kilku karasków.. Na rybną zupę. W innym garnku dusi się karp, którego podadzą w szarym, winnym sosie z rodzynkami. Mak. Trzeba go wiercić koniecznie w kamiennej donicy. Kapusta z grzybami, kisiele, kompot.

Teraz jak mistrz, który kończy arcydzieło. Tu i tam podkreśli, podretuszuje, podcieniuje. Zaprażka... posłodzić... soli, pieprzu. I wreszcie decyzje końcowe, ostateczne. Śmietana do zupy. Rzucać już ryby na patelnię! Dzieci, ubierać się do kolacji! Marynka, nakrywać stół!

Za oknami coraz głębsze cienie zwały się w smolistą ciemność. W lodowej zasłonie na szybach dziecięce oddechy podrażyły małe otworki, okienka na świat. Młodziutkie oczy wypatrują pilnie, aż i znalazły. Mamusiu, mamusiu, jest Gwiazda! O tam, jak błyszczy... Wysoko nad kamienicą pana Soborskiego wyszła prosto z nocy. Gwiazda z gwiazd. Betlejemska.

Na obrusie, pod którym pachnie siano, paruje świąteczna waza. Wokół stołu dziadek, rodzice, stryjowie i wujowie, ciocie, bracia i siostry, zięciowie, narzeczeni. I my – szkraby. Onieśmiałe, podniecone, łypiące ukradkiem w stronę szczelnie zamkniętych drzwi do saloniku, za którymi ukrywa się wielka, słodka tajemnica...

Talerz opłatków w czerwonej opasce. Ojciec bierze okruch do ręki, podchodzi do matki. Dlaczego ręce matczyne tak drżą? „Oby nam Bóg pozwolił doczekać... w zdrowiu... w pomyślności... w gronie najbliższych”. Całujemy pomarszczone dłonie rodziców, łamiemy opłatek z wszystkimi wokół i wielki spokój i wielka szczęśliwość spływa na dziecinne serduszka. A równocześnie dławi coś w gardle i wzruszenie odbiera głos i kołaczę się po głowinach, że nie zawsze będziemy mieć bliskich przy sobie i że nie zawsze będzie nam tak dobrze.

Ale to tylko chwila. Wokół stołu śmiechy, żarty, odprężenie. Potrawy po potrawach. Smakuje wszystko wybornie. Ale już przy smażonej rybie pojada się wolniej, stateczniej. Tyle jeszcze smakowitości przed nami, a tu po prawdzie, nie bardzo już się mieści. Za oknami fala natarczywego dzwonięcia. Starsi wymieniają znaczące spojrzenia, dziecięce serduszka uderzają na trwogę, na plecach rozpoczyna się korso mrówek. Gwiazdorzy, oj! Tupania, przeraźliwe głosy. Drzwi otwierają się z trzaskiem i wkraczają dwie figury w maskach, w strojach z worków, z różgami z brzozowych witek. „Gwiazdor” i „Gwiazdka”. W okropną noc w czasie napadu lwów przerażony Kali szepce do Stasia: „Panie wielki, dwa, dwa!”. Dwa. Schowaliśmy się pod stół ale cóż to pomoże? Co prawda dorośli wydają się nie brać zbyt poważnie całej awantury. Siostry i brat podskakują zabawnie na krzesłach. Ale brat jest „duży”, nie boi się zapewne i dziesięciu „gwiazdorów”. Ogarnia nas na nowo przerażenie. Bo oto „Gwiazdka” domaga

się stanowczo by pozwolono jej dobrać się do naszej skóry: „Gdzie te „psie-norody” gdzie? Dejcie mi te wybij-okna, pod różgę, pod różgę!”. Biega przy tym po pokoju, próbuje wyciągnąć nas spod stołu, różdzka wsuwa się pod obrus i już, już robi nam straszliwe kęsim. W tej ostatniej toni, kiedy wydaje się, że nic nas nie wybroni od dotkliwych „wałów”, robimy to, co robią wszystkie dzieci w podobnej sytuacji, uderzamy w ryk.

Na szczęście starsi zorientowali się, że nie można przeciągać struny, że to przecie święto dziecinnej radości. Para straszdeł udobruchana sutym datkiem już zmierza do wyjścia. Ale jeszcze od progu odwracają się złowrogie maski, jeszcze od progu grożą nam różgami: „No, pamiętajcie!”. W trwodze tej konfuzji nie dostrzegliśmy, że jedna z sióstr już dawno wymknęła się z pokoju. Drzwi saloniku otwierają się szeroko. Przed nami choinka. Ogromna, do sufitu. Rozmigotana złotymi i srebrnymi szychami, pełna łańcuchów, pawich oczek, pajaców z bibulek, szklanych kul, jarząca się świeczkami, tryskająca „zimnymi ogniami”.

Znajdowało się pod choinką najpierw pluszowe niedźwiadki, pieski pokraczne, jaskrawe stwory jakieś skrzydlate. W popłochu cofała się ręka dziecka przed skokiem zielonej, blaszanej żabki. Potem przyszła era koni na biegunach, drewnianego pałasza, „korkowców”, blaszanych i papierowych żołnierzy. Mieliśmy całe armie husarskich, dragońskich, wołoskich, petyhorskich jeźdźców, zaporoskie „kurzenie”, oddziały polskich łanowców. W jadalnym, na schodach w oficynie odbywały się ataki konnicy, manewry piechoty, bitwy pod Chocimiem i Beresteczkiem czy „pochód Nowowiejskiego w trzysta szabel przeciw całej sułtańskiej potędze”. Rekonstruowało się także często obronę Zbaraża, z orde bataille o jakim nie śniło się Sienkiewiczowi. Zdarzało się na przykład, chorągwie Kuszla i Wołodyjowskiego zapędzały się zbyt daleko w głąb szyków kozacko-tatarskich i nawet dziecinny optymizm dostrzegał, że czerwonych kołotów zbyt mało, że muszą wreszcie zginąć w czerniawie pułków zaporoskich. W takich ekstremałach wypadkach wkraczała na widowieństwo mała blaszana armatka, czyli pana Wurclowa artyleria. Strzelało się z niej grochem, który czynił ogromne spustoszenia w lilipucich

armiach, kładąc bez wyboru wojska księcia Jeremiego i watahy kozackie. Ale przynajmniej „bitwa” pozostawała nierozstrzygnięta i chorągwie koronne dalej powiewały w obleżonym Zbarażu.

Wszystko to poszło od razu w ką, kiedy zjawił się zaczarowany drukowany świat. Zrazu były to drewniane klocki z literami, z których mozolnie składało się wyrazy. Od tego raczkowania prawie niedostrzegalnie przeszło się do składania całych zdań. No i awantura. Przeczytałem pierwszą stronę, pierwszą powiastkę, pierwszą książeczkę. Pod choinką znalazła się teraz dziecinna „literatura”. „O Pawełku który się dziwił”, „Jak Janek wypędzał Niemców z Poznania” (z rysunkami Leona Prauzińskiego), „Finek”, „W winiarskim forcie”. To był początek. Dziś jeszcze gdy zamknąć oczy, pod powieką układają się winiety, tytuły, ryciny, jak na rewii suną autorzy. Dickens, Kipling, Defoe, Amicis, Gomulicki, Makuszyński. Przybywają do dziecinnej sali i rozkwaterowują się na stałe „Dwaj Rymaszowie”, „Rycerz” Czeskiej-Męczynskiej, „Bitwa pod Raszynem” Walerego Przyborowskiego, „Huragan” i „Szwolężerowie Gwardii” Wacława Gąsiorowskiego. Trzecia i czwarta gimnazjalne. W tych latach „Gwiazdor” układał nam pod drzewkiem Góry Skaliste, bawoły, tropiciele śladów, Komanczów i Siuksów – mądry był, wiedziało pakować do worka.

Aż po tych wszystkich radosnych świętach przyszlą pierwsza Gwiazdka niewoli. Nie ogłoszono pokoju ludziom dobrej woli. Nie było willi, podarków, choinki. Na kilka dni przed Bożym Narodzeniem palił wróg na jednym z placów miasteczka skonfiskowane polskie książki. Grudniowy wichur niósł ze sobą nie śniegowe płatki, ale biedne stratowane grubym buciorem kartki papieru, żałosne szczątki dzieł narodowej literatury. Podniosłem z ziemi zbrukaną kartkę i skurcz porwał za gardło. Tytułowa strona „Krzyżaków”, książki, co kiedyś była moją własnością. „Drogiemu Adasiowi na gwiazdkę od ojca. Kościan, 1934”.

ADAM TOMASZEWSKI

**) Fragment pochodzi z książki Adama Tomaszewskiego „Młodość została nad Obrą” Kościan 1996, wydanie polskie*



Szpital Krzywina

Dr med. Henryk Florkowski (1921 – 2003)

Krzywiń, posiadający od piastowskich czasów zamek, związany z urzędem kasztelana, stanowił własność bogatego Opactwa Benedyktynów w Lubiniu. Przez Krzywiń prowadził trakt handlowy do Wrocławia i Głogo-

wa. Mieszczanie tutejsi zabezpieczali drogę i groble przed zalewami Obry, gwarantując kupcom bezpieczny przejazd. Znalazło to uznanie królów: Stefana Batorego w 1585r. i Zygmunta III w 1613r. w postaci przyznanych

grodowi przywilejów. Wysoka pozycja Krzywina w hierarchii miast wielkopolskich zobowiązywała mieszczan do należytej troski o zabezpieczenie zdrowia, choćby ze względu na nierzadkie epidemie „morowego powietrza”.

Higienę osobistą zapewniały łaźnie. Krzywiń dysponował łaźnią już w średniowieczu. O łaźni w Krzywiniu pisze A. Warschauer.¹⁾ Dochód z łaźni wchodził w skład uposażenia wójta krzywińskiego. Koszty odstąpienia łaźni wynosiły 16 grzywien.²⁾ Dla zapewnienia zdrowej, czystej wody opat lubiński Paweł Chojnacki darował miastu w 1569r.

„zdrój, który bieży na rolach miejskich nad jeziorem wielkim, z którego zdroju rury do miasteczka przez pole miejskie i też szpitalne będzie im wolno czasy wiecznymi wieść ku wszelkiej potrzebie swojej”. Przy czym opat stwierdzał wówczas:

„Zdrój jest oprawiony i woda rurami dostatecznie do miasteczka jest przywiedziona nakładem własnym tych mieszczan.”³⁾ Krzywiń więc posiadał własne wodociągi

Andrzej Hanyż podaje, że szpital w Krzywiniu stał już od XIVw. przy farze obok szkoły.⁴⁾ Faktyczne zapisy pochodzą dopiero z XVIw. Dokument pisany po łacinie „Fundatio hospitalis in Krivin”, pochodzący z 1532r. jest przechowywany w archiwum poznańskim.⁵⁾ Szpital murowany ufundował w tym roku opat lubiński Mikołaj Wyleżyński. Ten sam opat przywilejem z 10 czerwca 1535r. uposażył szpital w role, łąki, dwie posiadłości (allodia), myto targowe od roli, łaźnie, czynsze.⁶⁾ Zastrzegł sobie tylko z tego 20 grzywien dla klasztoru lubińskiego. Zarząd nad szpitalem sprawował magistrat, a nadzór miał proboszcz krzywiński.

Celem ówczesnych szpitali było zabezpieczenie opieki ludziom starym, najczęściej przewlekle chorym, kalekom, biednym i bezdomnym. Instytucje podobne do współczesnych szpitali zaczęły powstawać dopiero w II połowie XIX wieku. Dawne domy szpitalne miały charakter przytułków. Składały się najczęściej z jednej izby ogrzewanej, rzadziej dwóch, gdzie zimą wspólnie przebywali wszyscy szpitalnicy w ciągu dnia (tam spożywali posiłki)



Dom lekarza w Krzywiniu.

Z pocztówki w zbiorach Muzeum Regionalnego im. dra. med. Henryka Florkowskiego w Kościanie

oraz z kilku małych, oddzielnych izdebek (komórek), gdzie spali pojedynczo. Szpitale mieściły się najczęściej przy kościołach tzw. szpitalnych, najczęściej pod wezwaniem św. Ducha lub św. Krzyża. Podobnie było też w Krzywiniu. W 1544r. za opata P. Chojnackiego benedyktyni zbudowali przy szpitalu kościół szpitalny p.w. św. Ducha lub św. Krzyża. Wiadomości o tym

szpitalu przekazały nam: O. Bartłomiej z Krzywina, kronikarz klasztorny w „Antiquitates Monasterii Lubinensis” i protokoły wizytatorów diecezjalnych.⁷⁾ Z kroniki O. Bartłomieja dowiadujemy się:

„Opat Paweł Chojnacki ustanowił prepozyta dla kościoła św. Ducha przy krzywińskim szpitalu biednych, ufundowanym niegdyś przez opata Mikołaja Wyleżyńskiego i jego następcę Wawrzyńca z Młodzikowa, powiększając czynsze na rzecz tego szpitala oraz przyznając prepozytowi wystarczający dochód z dóbr szpitala i przydając mu altarię św. Marii Magdaleny z jej uposażeniem w kościele parafialnym”⁸⁾

Wizytacja z 1610 r. podaje:

„Jest w Krzywiniu także szpital św. Ducha murowany niegdyś nakładem Mikołaja Wyleżyńskiego, opata lubińskiego, a potem przez następującego Pawła Chojnackiego dokończony i ozdobiony. Ów Wyleżyński kupił dla szpitala dwa wójtostwa w Krzywiniu, z których się 20 ubogich wygodnie

utrzymać może. Posiada także szpital pewne czynsze z domów na gruncie jego wystawionych i z wiatraków; ma także jatkę jedną, którą rzeźnikowi wydzierżawia. Pod tym samym dachem znajduje się także w szpitalu kapliczka drewnianą ścianką od mieszkań ubogich przegrodzona”⁹⁾

Wizytor Haap w 1610r. wspomina wśród dochodów szpitalnych legat Pawła Świnki, mieszczanina krzywińskiego, który w testamencie zapisał

kwartę roli i folwark na coroczny zakup 2 beczek piwa. Jedną należało rozdzielić między ubogich w łaźni podczas przygotowanej dla nich kąpieli, drugą beczkę - w szpitalu.¹⁰⁾ W 1610r. w Szpitalu św. Ducha w Krzywiniu rejestrowano - 13, a w 1667r. - 7 szpitalników zwanych także hospitalitami.

Protokół wizytacyjny Gnińskiego z 1585r. mówi o zniszczonym, a nawet zrujnowanym szpitalu:

„Ubolewamy bardzo, żeśmy to miejsce znaleźli zaniedbane, opuszczone i całkiem zrujnowane. Niech wiedzą przełożeni kościołów farnego i św. Ducha i magistrat, że ciężki zdadzą Panu Bogu rachunek za to spustoszenie. Niech się uderzą w piersi, że są wyródkami swoich pobożnych przodków nie wykonując ich świętych postanowień. Ubodzy, którym z miłości chrześcijańskiej powinni opatrywać potrzeby, są pozbawieni wszelkich wygod i dochodów. Pola i budynki poniszczają z powodu zupełnego niedbalstwa, jednym słowem wszystko około tego świętego miejsca znaleźliśmy z wielkim bólem naszego serca zaniedbane i zniszczone. Dlatego poważnie upominamy Wielebnego Plebana i Sławetny Magistrat, aby na przyszłość naprawili to co zaniedbali, aby się starali doprowadzić szpital do dawnego i należytego porządku, aby ubogich w nim nie krzywdzili, lecz przeciwnie, aby wszelkimi sposobami według statutu szpitala o ich dobro i wygodę zabiegali.”¹¹⁾



Pocztówka w zbiorach muzeum Regionalnego im. dra med. Henryka Florkowskiego

Był to okres, kiedy po wojnie szwedzkiej i epidemiach chorób zakaźnych zapanował chaos. Mnożyły się nadużycia, też ze strony duchowieństwa. Pisał o tym Opaliński w jednej ze swoich satyr. A. Hanyż przypomina, że w 1710r. w Krzywiniu zimowali Szwedzi, przywlekając zarazę, która szerzyła się w okolicy przez 3 lata. W mieście zmarły 464 osoby. W 1712r. Krzywiń opustoszał. W 1737r. już odbudowany szpital, wymagał jednak remontu dachu.

W 1778r. w czasie wizytacji Józefa Rogalińskiego szpital przedstawiał się jako dom drewniany, kryty słomą o jednej, dużej ogrzewanej izbie, do której przylegało osiem izdebek w średnim stanie. Należały do niego: mały ogródek i stajenka. Nie posiadał natomiast żadnego żywego inwentarza. Grunty szpitalne obejmowały 4 łany i kwartał roli w trzech polach: pod drogą lubińską aż do Lubinia, za rezydencją altarzysty św. Anny, czyli za kościołem parafialnym i w stronę Zalas do granicy Nowego Dworu, czyli pod Kliszewo.¹²⁾ Były też trzy łąki: na Rudkach, pod Wierzbami i trzecia zw. Kryzy.¹³⁾ Szpital miał

jeszcze drugi ogród (za stodołą) na przedmieściu (w stronę wiatraków), jezioro przy wiatraku, mały dom kryty strzechą, trzy chlewy, a także różne czynsze.

J. Rogaliński krytycznie ocenił ówczesny stan szpitala. Pisał, niegdyśiejszy dom wzniesiony przez fundatora z solidnego muru, zamienił się w stary drewniany obiekt. Z 8 mieszkających tam osób, tylko 6 korzystało w pełni z należytych posiłków i opieki. Dwie nie wpłaciły opłaty z tytułu przyjęcia do szpitala. Sześciu hospitalitów wpłaciło od 40, 50 do 60 florenów prepozytowi, a ten pieniędzy nie przekazał do kasy szpitalnej. Rogaliński przypominał, że szpital ufundował opat Wyleżyński dla dobra zniedołężniałych mieszczan krzywińskich.¹⁴⁾

Na każdego szpitalnika w zaopatrzeniu w żywność z dochodów szpitala przewidywano 150 kg pszenicy, 150 kg kaszy jęczmiennej i grochu i 100 kg jagieł. Na inne środki spożywcze jak masło, smalec, sól, olej każdy miał otrzymać rocznie 20 florenów i 17

groszy. Wobec braku funduszy od 2 lat chorzy nie otrzymywali żadnego zaopatrzenia. W 1767r. z pieniędzy szpitalnych zapłacono naprawę organów w kościele parafialnym; choć Rogaliński przyznawał, że niektóre potrzeby szpitala pokrywał prepozyt z własnej kieszeni.

Charakterystyczne były zalecenia powizytacyjne dla magistratu i zarządu szpitala:

„1. Mają oni pilnować by wszelki dochody z pól, łąk itp. stanowiących własność szpitala nie szły na inne cele, jak tylko na potrzeby ubogich w szpitalu.

2. Pieniądzy pochodzących z dochodów szpitala nie wolno nikomu przechowywać u siebie lecz mają być natychmiast złożone w kasie szpitalnej o dwóch zamkach, do których jeden klucz ma mieć prepozyt, a drugi zarząd.

3. Za przyjęcie do szpitala nie wolno pobierać żadnej opłaty od miejscowych parafian, a od zgłaszających się z poza terenu parafii najwyżej 30 florenów, które jednak nie stanowią własności prepozyta, lecz mają wpływać do kasy szpitalnej.

4. Pieniądzy szpitalnych nie wolno wydawać na inne cele, niż potrzeby szpitala.

5. Ubranie i przedmioty należące do podopiecznych mają być po ich śmierci rozdane ubogim, a krewni nie mają do nich żadnego prawa

6. Prepozytowi ma zarząd szpitala wypłacać należne missalia i ustanowione przez fundatorów opłaty.

7. Kosztami związanymi z utrzymaniem kościoła nie wolno obciążać ubogich podopiecznych, są to bowiem obowiązki kolatorów”.

Wizytator przekazał wtedy jeszcze oddzielny „Dekret reformacji dla kościoła św. Ducha”, gdzie m.in. zaakcentowano:

„1. Ma zachęcić i upominać do modlitw porannych, południowych i wieczornych i uczyć pobożnych pieśni.

2. Niech czuwa, by nie oddawali się kłótniom, sprzeczkom, plotkom i innym występkom.

3. Niech zgodnie ze statutem odprawia dla nich Msze św. W każdą niedzielę i święta, a raz w tygodniu za dusze fundatorów.

4. Niech pobiera czynsze i dochody, które mu się należą, ale niech nie krzywdzi ubogich mając słowa Chrystusa: Coście uczynili jednemu z tych najmniejszych, mnieście uczynili”.¹⁵⁾

W lipcu 1835r. landrat kościański ogłaszał publiczną licytację ziemi szpitalnej („Armenhospital”) w Krzywiniu.¹⁶⁾ W 1836r. w skład tzw. dozoru szpitala wchodziło mieszczenie Dolski, L. Masłowski i prob. ks. W. Frydrychowski. Szpital dawał wtedy schronienie 6 hospitalitom - Polakom. W 1841r. rendant szpitalny Siciński zawiadamiał władze, że dom szpitalny (należący kiedyś do szkoły elementarnej) posiada 2 izby, w których mieszkało 6 ubogich: Kazimierz Jankowski, Jadwiga Maciejewska, Józef Piaskiewicz, Marianna Ślósarkowa, Julianna Szadkowska i Katarzyna Wojciechowska. Każdy z nich dysponował działką ogrodową, 2 morgową, przylegającą do szpitala.¹⁷⁾

W 1852r. ks. Ćwikliński z Osiecznej legował szpitalowi w Krzywiniu 40 talarów.¹⁸⁾ W 1853r. oddano grunty szpitalne (513 mórg) kilku obywatelom krzywińskim w wieczystą dzierżawę za 113 talarów i 25 srebrnych

groszy; był to tzw. kanon z hub szpitalnych.

W latach 50-tych XIXw. prob. ks. Poniecki rozpoczął akcję budowy nowego szpitala z pomieszczeniami zarówno dla starych i biednych, jak i chorych. Była później propozycja umieszczenia chorych w budynku ochronki, by wykorzystać pracujące tam zakonnice do opieki nad chorymi. Ks. Poniecki był bardzo aktywny. Próbował uzyskać nawet zezwolenie na kolektę (składkę) kościelną na terenie diecezji na budowę szpitala w Krzywiniu. Nie uzyskał jednak zgody arcybiskupa w 1856r. z powodu powodzi i nieurodzaju w roku poprzednim w Wielkopolsce.¹⁹⁾ 16 stycznia 1860r. powstał Komitet Budowy Szpitala (z lokalem lazaretu), który tworzyli: ks. Poniecki, dr Kutzner i burm. Czamański.²⁰⁾ Szpital zbudowano w 1862r. przy kościele farnym.²¹⁾ Lokatorami szpitala w 1865r. były: Scholastyka Gogółka, lat 84, Anna Jankowska, lat 50, Teresa Spychała, lat 60, Konstancja Szydłowska, lat 60, Elżbieta Talarczyńska, lat 62, Klaudyna Hintze, lat 33.²¹⁾ W 1910r. burmistrz Krzywiania podawał landratowi skład zarządu katolickiego szpitala, który tworzyli burm. H.Kohlmeier, ks. T.Nawrocki, kontroler polskiego banku Walerian Szułyński i mistrz ślusarski Łukasz Turkiewicz.²²⁾ Ostatnia „babka szpitalna” zmarła w tym szpitalu-- przytułku w 1946 roku.²³⁾ W 1950r. dawny szpital przejęty został łącznie z przyległym ogrodem na rzecz państwa.

Warto dodać, że w 1911r. Niemcy zorganizowali w Krzywiniu szpital dla siebie, a jego kierownictwo oddali w ręce diakonisek.²⁴⁾ W czasie powstania wielkopolskiego zorganizowano szpital rezerwowy w Domu Sióstr Służebniczek Niepokalanego Poczęcia NMP w Krzywiniu. Przebywało w nim 4 rannych powstańców.²⁵⁾

Po wyzwoleniu Krzywiania (25 stycznia 1945r.) zaszła konieczność organizacji małego szpitala Polskiego Czerwonego Krzyża. Uruchomiono go w domu, przy Rynku 5 potem 6. Dysponowano tu 12 łózkami. Opiekę lekarską zapewniał dr med. Władysław Dworcak. Ostatnich pacjentów zwolniono 10 kwietnia 1945r.; byli nimi żołnierze radzieccy.²⁶⁾

Bogata tradycja szpitalnictwa Krzywiania dowodzi wymownie o humanitarnych dążeniach jego obywateli w urządzaniu charytatywnych szpitali w celu ulżenia niedoli ludzkiej.

Przypisy:

1) A. Warschauer. *Die Städtischen Archive in der Provinz Posen*. Leipzig 1901, s. 101-103.

2) J. Gierliński. *Informacje z terenu Krzywiania dotyczące służby zdrowia*. Krzywiń 25.01.1965. Arch. autora.

3) Tamże.

4) A. Hanyż. *Historia m. Krzywiania*. Gostyń 1963, s. 46, mps.

5) AP Poznań Landratsamt Kosten, *Hospitaladministration von Kriewen*, sygn. 642.

6) J. Nowicki. *Archidiecezja poznańska w granicach historycznych i jej ustrój*. Poznań 1964, s. 657.

7) M. Skibniewski. *Szpitaly parafialne w średniowieczu pod opieką benedyktynów lubińskich*. Lubin 1985 r., mps.

8) J. Łukaszewicz. *Krótki opis historyczny kościołów parafialnych w dawnej diecezji poznańskiej*. t.II. Poznań 1859, s. 36.

9) M. Skibniewski... op, cit.

10) J. Łukaszewicz... op, cit. s.37.

11) *Kronika parafialna w Krzywiniu*, s. 54.

12) Tamże.

13) M. Skibniewski...op, cit.

14) Tamże.

15) *Publiczny Donosiciel 1835*, nr 25, s. 522-3.

16) AP. Poznań. Landratsamt Kosten. *Act spec. betr. Hospital Kriewen*, sygn. 636.

17) *Dziennik. Urzędowy Królewskiej Regencji w Poznaniu*, 1856, nr 5, s. 57, *Kronika paraf. w Krzywiniu*, cz. III, t.70.

18) *Kronika parafialna w Krzywiniu*, cz. III, t.7019)

19) Tamże. cz. II, t. 69, poz. 45.

20) *Mieszkał w nim ostatnio były kościelny*.

21) *Kronika parafialna...*, op. cit., cz. III, t. 71, p. 77-94.

22) AP. *Hospitaladministration von Kriewen*, sygn, 642.

23) J. Gierliński..., op. cit.

24) A. Hanyż. *Historia miasta Krzywiania...*, op. cit. s.37.

25) J. Gierliński. *List do autora z 4 lutego 1969r.*. Zbiory autora.

26) H. Florkowski. *Pół wieku działalności PCK na ziemi kościańskiej 1919-1969*. Kościan 1969. s.17.

Przy szabasowych świecach (1)

(Z red. Jerzym Zielonką rozmawia Teresa Masłowska)

Gromadzisz materiały do publikacji pt. „Bracia w wierze na Ziemi Kościańskiej”, to znaczy, że masz zamiar przedstawić losy Żydów w Kościanie i okolicy na przestrzeni dziejów...

- Pomysł powstał dobrych dwadzieścia lat temu. Jego autorem był kościański regionalista Marian Koszewski. Doszedł on do wniosku, że trzeba gruntownie przebadać losy mniejszości niemieckiej i społeczności żydowskiej, które zamieszkiwały powiat kościański. Do tego dołączył się miłośnik kościańskiej ziemi dr med. Henryk Florkowski. Spotykaliśmy się w trójkę i cieszyliśmy się z każdego w tej dziedzinie odkrycia. Dokumentację badań gromadziliśmy u mnie. W 2013 roku przeglądałem swoje archiwum i trafiłem na notatki z naszych spotkań oraz na dokumenty, pozostawione przez obu zmarłych moich przyjaciół.

Wznowiłem badania, bo pojawiły się nowe źródła, także w bazach internetowych i stwierdziłem, że nasz wysiłek nie może pójść na marne. Zacząłem od społeczności żydowskiej, w dalszej kolejności będzie mniejszość niemiecka...

I doszedłeś do wniosku, że wokół historii Żydów kościańskich narastają legendy, panuje chaos i informacyjny bałagan...

- Zwłaszcza w ostatnich dziesięciu latach pojawiają się różnorakie informacje na ten temat, kreowane przez różnych pozał się Boże dziennikarzy tak zwanych internetowych, oparte na rzekomych opracowaniach historyków i świadków, które mijają się z prawdą...



Kościański Rynek. Kamienica i hotel Grünów. W zbiorach J.Zielonki

Konkretniej, co możesz powiedzieć - na przykład - o takiej informacji z Internetu: „Kościan. Pierwsi mieszkańcy pochodzenia żydowskiego osiedlili się w miasteczku już na początku XVI wieku, jednak miejscowa ludność była im bardzo nieprzychylna i zdołała doprowadzić do tego, że opuścili oni miasto. Przywilej wydany wówczas przez króla gwarantował, że mieszkańcy nie będą znosić obecności <ani heretyków, ani żydów> w mieście...

- Jest to - niestety - prymitywny skrót, zawierający na dodatek sporo błędów. Nie będę się czepiał tego, że w wiekach średnich Kościan nie był miasteczkiem, ale liczącym się ośrodkiem miejskich; drugim - co do liczby ludności i znaczenia -

miastem po Poznaniu, a np. przed Kaliszem czy Gniezmem. Do takiego ośrodka lgnęli przybysze, bo stanowiło coś na wzór Ziemi Obiecanej. Natomiast stwierdzenie, że pierwsi mieszkańcy pochodzenia żydowskiego osiedlili się w Kościanie na początku XVI wieku - to ewidentny fałsz. Ktoś widocznie nie zajrzał do źródeł, bo pierwsza wzmianka o Żydach w Kościanie pojawia się w nich dokładnie w 1387 roku. Wynika z niej, że zamożnym właścicielem jednego z domów w mieście był poborca podatkowy Borzina. W czasach króla Władysława Jagiełły i w ogóle Jagiellonów także pojawiają się w dokumentach nazwiska obywateli kościańskich żydowskiego pochodzenia...

Kim byli ?

- W zasadzie prowadzili kramy, oberże, udzielali pożyczek. Generalnie obraz stosunków w mieście sprzed wojen szwedzkich jest jakby

niekompletny, zamazany, bo Szwedzi w czasie „potopu” spalili i splądrowali miasto, a także zniszczyli lub wywieźli wiele bezcennych dokumentów. Zachowały się księgi sądowe, które - jako takie - oddają tylko obraz trwających sporów i procesów. Z nich wiemy, że jedną ze znaczniejszych i poważanych przez władze powiatu i miasta postacią od 1400 roku był karczmarz Abirwin, który w czasie pobytów w Kościanie króla Władysława Jagiełły zajmował się przygotowaniem uczt na zamku kościańskim. Przez jakiś czas procesował się ze starostą o zapłaceniu długu z tego tytułu, ale w końcu zgodził się na jego umorzenie. Z kolei kramarz Samuel Tycz skarżył się w 1411 roku z opatem benedyktyńskim z Lubinia o zwrot

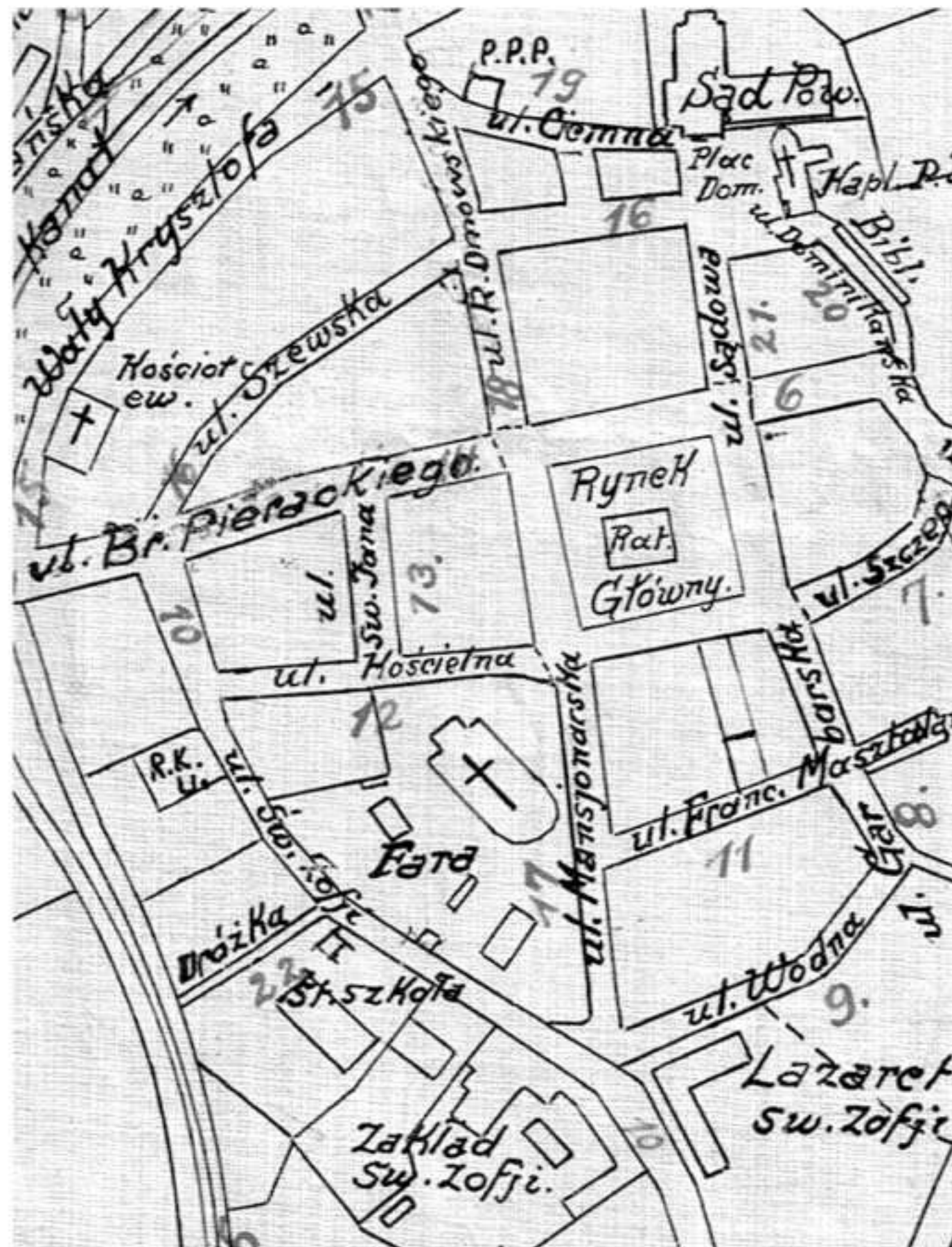
pożyczek, które udzielał klasztorowi. A już szczególnie wpisał się w księgi sądowe kupiec Hampel, zwany też Abrahamem. Miał on w Kościanie oberżę, wypożyczalnię koni podróźnych i udzielał pożyczek znanych w kraju sukiennikom kościańskim. Wymieniany jest w ponad 20 procesach. Wybitna mediewistka poznańska prof. Krystyna Górńska-Gołaska, z której opracowań po części korzystam, odkryła, że Hampel w 1424 roku wyprowadził się Kościana do Kalisza.

Istnieje dość powszechne przekonanie, że Żydzi rozpijali polski lud, bo prowadzili karczmy...

- Na pewno nie w wiekach średnich i nie w powiecie kościańskim. Wyobraź sobie, że w XVI wieku na trzydzieści parę oberż w okolicy Kościana, tylko dwie prowadzili Żydzi. Reszta to byli nasi. Wojnę „o gastronomię” wygraliśmy. Może dlatego w Wielkopolsce jest tylu Kaczmarków...

Spory, skargi, procesy. Z tego, co mówisz, wynika, że jednak społeczność Kościana nie była przychylna Żydom...

- Jeśli spojrzeć przez pryzmat ksiąg sądowych to w XIV i XV wieku nie był to problem nieprzychylności Żydom. Nieporównywalna większość, setki, a może i tysiące procesów dotyczy sporów polsko-polskich. Tak samo poza Kościan – z różnych powodów - emigrowało bardzo wielu polskich kupców czy rzemieślników. Można nawet powiedzieć, że przez prawie dwa wieki społeczność żydowska w mieście rozwijała się, skutecznie konkurowała gospodarczo z pozostałą ludnością i – jak sądzę – w jakiejś mierze przyczyniła się do dynamicznego rozwoju Kościana. Musiało tak być, skoro przywilej o zakazie osiedlania się tutaj Żydów i Szkotów, bez wątplenia na prośby i żądania większości mieszczan, król Stefan Batory wydał dopiero w 1578 roku. I to wtedy rozpoczął się całkowity exodus ludności żydowskiej z Kościana, a miasto niewątpliwie na tym straciło.



Fragm. planu Kościana z 1928 roku. Nad numerem 11, w zaznaczonej posesji prowadzącej do Rynku, miejsce synagogi.
Ze zbiorów Muzeum Regionalnego im. dra med. Henryka Florkowskiego w Kościanie

Kto zyskał ?

- Najwięcej chyba sąsiednie, co dopiero powstałe, tolerancyjne Leszno; także Grodzisk i miasteczka ziemi kościańskiej – Czempień i Śmigiel.

Nie sądzisz, że wpływ na samopoczucie ludności żydowskiej w mieście miał fakt, iż Kościan był własnością króla, a dominowali w nim katolicy...

- W przypadku Kościana mniejszy wpływ na zakaz osiedlania się Żydów i Szkotów miał sam król. Gdyby – jak niektórzy mówią – królewskość grodu nad Obrą była czynnikiem decydującym, to przywilej wydałby dawno któryś z Jagiellonów. Samopoczucie? Delikatnie to określić. Sytuacja obywateli żydowskich stała tutaj nie do zniesienia może nie od razu po ogłoszonych reformach Lutra, ale gdzieś połowy XVI wieku, wobec narastającej w mieście kontreformacji. Ale nie było tu rzezi, pogromów, stosów... Nie skutkowało też ostracyzm gospodarczy czy

religijny, Dlatego sięgnięto po przywilej królewski.

Ułynęły wieki. W 1793 roku, w II rozbiórce Polski, Kościan dostał się pod pruskie panowanie. Ankieta, którą zaborca sporządził przejmując polskie ziemie dowodzi, że Kościan liczył 1076 mieszkańców, w tym 80 Niemców i ani jednego Żyda. W Lesznie liczba obywateli żydowskiej wynosiła 2 991, co stanowiło 43,8% ogółu ludności; w Czempiniu wskaźnik ten wynosił 26, a w Śmiglu 11%. Przywilej króla Stefana Batorego stracił moc...

- Punkt wyjścia Kościana w zaborze pruskim był rzeczywiście słaby. To już było prowincjonalne miasteczko. Rozpoczynała się „najdłuższa wojna Europy”, wojna o przetrwanie polskości...

I polskość trwała. W 1821 roku Julian Ursyn Niemcewicz wracał ze Śląska, przez Leszno i Kościan, do Warszawy.

W dzienniku z podróży zapisał: „(...) W Kościanie zaczyna się już prawdziwa Polska; mieszczenie prawie wszyscy Polacy. Jeden z wężem i bardzo świadomy pokazywał mi farę. Niemców niewiele, zaczynają się jednak cisnąć Żydzi. Tu ustają już bogi domowe niemieckie (...)”.

- Niemcewicz co nieco przesadził. Zdał się zapewne na opowiadanie „jednego z wężem”, bo w mieście wznosiła się nie tylko liczba Żydów, lecz i Niemców. W rejestrach miejskich pierwsza rodzina żydowska w czasie zaboru pojawia się w 1809 roku, dwa lata później mieszkało tutaj 13, a 1871 roku – 271 Żydów, ale - co ważniejsze – społeczność żydowska (także niemiecka) osiągnęła wysoki stan zamożności i – jak to pisze znawca tematu historyk z Leszna dr Dariusz Czwojdrak (cytuje w dużym uproszczeniu) – Żydzi w dużej mierze przyczynili się do przeprowadzenia Kościana z feudalizmu do kapitalizmu.

Zajmowali się wtedy...

- Na początku handlem. O tej pierwszej rodzinie kościańskich Żydów wiemy tyle, że wydzierżawiła od miasta kram tekstylny - handlowała tekstyliami, a więc materiałami, wełną, nićmi, guzikami itp. Miasto udzieliło także Davidowi Smaie, Lewinowi Korachowi i Abrahamowi Goldschmidtowi koncesji na produkcję i sprzedaż trunków. Byli oni pierwszymi w XIX wieku tak zwanymi destylatorami w Kościanie. Inwestowali, szybko rozwijali swoje firmy...

I – jak to ludzie – umierali. Przytoczę ci wyjątek z jednej ze stron internetowych: „(...) Cmentarz założony został ok. 1830 roku, wcześniej zmarli z gminy chowani byli na cmentarzu żydowskim w Czempinie (...).”

- To prawda, że przez jakiś czas kościańscy Żydzi chowani byli na cmentarzu w Czempiniu, gdzie istniała już gmina żydowska z czynnym rabinem. Ale trzeba zacząć od tego, że tworzenie gminy żydowskiej w samym Kościanie rozpoczęli w 1816 roku właśnie wspomniani już destylatorzy. W sierpniu tamtego roku zwrócili się oni do rady miejskiej Kościana o wydzielenie i możliwość zakupu gruntu pod kirkut tj. cmentarz. Trzy miesiące później doszło do podpisania umowy z miastem, reprezentowanym przez ówczesnego burmistrza Polaka – Franciszka Niklewicza, która stwierdzała, że wobec tworzącej się gminy żydowskiej, której przedstawicielami są destylatorzy David Smaie i Abraham Goldschmidt „(...) sprzedaje się grunt na cmentarz, na ustroniu, przy wiatraku i roli Marcina Wawrzyniaka – rolnika ze wsi Sierakowo, w poszrodku, w polu leżący, szerokości łokci 63, długości zaś 53 miary polskiej, tymże Starozakonnym w kościanie mieszkającym, a to za sumę dobrowolnie umówioną i ugodzoną złotych Polskich 700 w brzmącym kurancie srebrnym (gotówka)”.

To znaczy, że cmentarz powstał szybciej niż sama gmina.

- Właśnie tak. Łokieć polski to mniej więcej 60 centymetrów, zakupiona działka miała wymiary jakieś 37–38 metrów na 31–32 metry. Działkę ogrodzono w części murem, w 1819 roku zbudowano pierwszy dom pogrzebowy, później zapewne rozbudowywany. Jest pewne, że cmentarz powstał wcześniej niż

w 1830 roku, i wcześniej też chowano na nim zmarłych. Pozostałości kościańskiego kirkutu przestały w szczątkowej formie - ogrodzenia i domu pogrzebowego - w tym samym miejscu do dzisiaj.

Najpierw cmentarz, później gmina. To tak jakby owi starozakonni kupili ziemię dla siebie, a później przeznaczili kościańską gminie żydowskiej.

- I tak najprawdopodobniej było. Nie chciałbym zanudzać ogólną historią, ale teraz muszę. Za wikipedią: „W zaborze pruskim trwał proces naturalizacji Żydów. W 1812 roku w Prusach wydano akt emancypacyjny zrównujący ich w prawach z chrześcijanami. Niemieccy Żydzi mogli swobodnie nabywać dobra ziemskie, osiedlać się gdzie chcą i wykonywać wszystkie zawody. Mogli zajmować stanowiska nauczycieli akademickich, także w urzędach. Wraz z prawami obywatelskimi, wzięli na siebie obowiązek służby wojskowej. Żydzi mieszkający w Wielkopolsce, musieli czekać na te prawa do 1833 roku. Niemcy wychodzili z założenia, że ludność żydowska na ziemiach polskich musi wprawdzie zostać „ucywilizowana”, a dopiero później będzie można jej nadać równe prawa”. Dokumenty, dotyczące naturalizacji Żydów w powiecie kościańskim zachowały się w Archiwum Państwowym w Lesznie. Można z nich wywnioskować, że reprezentacja żydowska oficjalnie powstała w Kościanie właśnie w 1833 roku, a jej pierwszymi przedstawicielami byli: kupiec Samuel Honig (lat 28) – zwierzchnik reprezentacji żydowskiej, kupiec Jona Goldstein (lat 46) – zastępca zwierzchnika oraz członkowie i przedstawiciele reprezentacji: kupiec Izaak Cohn (lat 51), kupiec Gabriel Koppel (lat 38) i kupiec Bendt Rantoberger (lat 33). Od tamtego czasu aż do końca zaboru



Kościański Rynek. Drukarnia Meyera.

W zbiorach J. Zielonki

reprezentacja, bez względu na liczebność ludności, miała zawsze do dyspozycji dwa miejsca w 9-osobowej kościańskiej radzie miejskiej.

Przypomnijmy – w 1578 roku król Stefan Batory na prośbę mieszkańców zakazał „Żydom i Szkotom” osiedlanie się w Kościanie. Nie minęło wiele czasu, a obywatele wyznania mojżeszowego całkowicie opuścili miasto. Kiedy po włączeniu w 1793 roku powiatu kościańskiego pod zabór pruski sporządzono specjalną ankietę statystyczną, okazało się, że w Kościanie żyje 1 076 osób, w tym 80 Niemców, ale ani jednego Żyda.

- Kościan miał już za sobą czasy świetności. Wojny szwedzkie w XVII i XVIII wieku, szczególnie zaś „potop” z zemstą Szwedów za zbrojne wystąpienie partyzantów Krzysztofa Żegockiego, zrujnowały miasto i doprowadziły do ruiny pod względem gospodarczym.



Reklama firmy Russaka.

W zbiorach Muzeum Regionalnego im. dra med. Henryka Florkowskiego

Zamożni rzemieślnicy, jeśli uszli z życiem, przenieśli się do innych miast – głównie do Leszna i Wschowy. Pozostali mieszczenie zubożeli, nie posiadali kapitału, nie byli w stanie konkurować ani z Żydami, ani z Niemcami. Fortuna kołem się toczy. Dziewiętnasty wiek w Kościanie, to złoty okres w rozwoju społeczności niemieckiej i żydowskiej.

Tak więc na początku XIX wieku stan posiadania społeczności żydowskiej jest zerowy. Ale, mając kapitał wyjściowy, korzystając z przychylnej koniunktury, także z poparcia zaborcy, bogacą się i rok po roku wykupują miasto.

- Tak to mniej więcej wygląda przez cały XIX i początek XX wieku. Pierwsze kościańskie fortuny żydowskie powstają dzięki prężnej grupie destylatorów. Spośród nich na czoło wybija się Joseph Russak, który w 1861 roku zakłada w Kościanie wytwórnię wódek i likierów. Korzystając z receptur rosyjskich podejmuje produkcję wielu markowych

trunków, wśród nich sławnego likieru ziołowego „Iwan” i w krótkim czasie organizuje eksport swoich wyrobów poza zabór pruski, nie szczędzi pieniędzy na reklamę, otwiera biura handlowe m.in. w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. To on jest rzeczywistym twórcą legendy o cudownym dla zdrowia działaniu likieru „Iwan”. Jednocześnie do miasta zjeżdżają kupcy żydowscy m.in. spod Gostynia.

Co na to mieszczenie polscy, co na to Kościół katolicki?

- Polacy byli za słabi ekonomicznie - nie mieli materialnej siły przebicia. Kościół katolicki sam znalazł się w wielkich kłopotach, stając się w pierwszej kolejności przedmiotem ataków władz pruskich, które szybko pozbawiły majątków istniejące w Kościanie zgromadzenia zakonne, zlikwidowały klasztory, zagarnęły mienie, zanim jeszcze Bismarck zastrzył walkę z Kościołem. Trwały ataki na parafię i proboszczów. Sytuację materialną katolików w mieście wyraźnie ilustruje fakt, że parafia i

klasztory nie przeprowadziły w XIX wieku żadnej znaczącej inwestycji. Pod koniec tamtego stulecia proboszcz kościański ks. Piotr Bączkowski zdołał – na szczęście - przeprowadzić generalny remont, chylący się ku ruinie fary. Natomiast gmina ewangelicka wystawiła nowy okazały zbór, a gmina żydowska zbudowała synagogę. Odnosi się wrażenie, że społeczność polska Kościana pod względem ekonomicznym „przespała” pierwszą połowę XIX wieku. Daliśmy się także „wykołegować” z najważniejszych korzyści, jakie niosło z sobą uruchomienie linii kolejowej Poznań – Wrocław w 1857 roku. Otóż firmy żydowskie i niemieckie postawiły szopy przy kościańskiej stacji i opanowały usługi spedycyjne dające znaczące zyski. Podobnie polscy przedsiębiorcy nie byli w stanie wykorzystać w pełni dobrodziejstw z powstających w mieście fabryk. Cukrownia „Kościan” utworzona w 1881 roku – na przykład – skup buraków, a także dostarczanie nasion, powierzyła firmie Moritza Płonska z Kościana, której oferta była

najkorzystniejsza. Wyłączność na skup buraków dla Cukrowni „Wschowa” miał też kościaniak Moritz Glass.

To oznacza, że w Kościanie „najdłuższą wojnę nowoczesnej Europy” przegraliśmy.

- Pod względem ekonomicznym w mieście Kościanie, także w Czempiniu i Śmiglu, niestety – tak. W Europie znane były kościańskie firmy, jak wspomniana wytwórnia wódek i likierów Russaka czy fabryka zapalek Hamburgera i Plonska (założona w 1873 roku), wytwórnia tabaki i cygar Rosenberga (1883 r.), zakład produkcyjny papieru Leopolda Eliasa (zatrudniał okresowo 300 robotników). A już skalę ekonomicznej ekspansji społeczności żydowskiej najlepiej ilustruje stan własności na kościańskim Rynku z 1895 r. Otóż znajdowały się tam wtedy 32 posesje. Ich numeracja w zasadzie do dzisiaj się nie zmieniła. Przypomnę, że jeszcze w końcu XVIII wieku domy i działki na Rynku znajdowały się w posiadaniu polskich mieszczan. Tymczasem po stu latach: Rynek nr 2 – właściciel kupiec Meyer Hamburger, nr 3 – kupiec i hotelarz Pinkus Grün, nr 4 – kupiec Salomon Goldschmidt, nr 5 – kupiec Moritz Leser, nr 9 – rentierka Karoline Hong, nr 10 – kupiec Louis Czerniejewer, nr 11 – własność wyznaniowej gminy żydowskiej (dom, synagoga, zabudowania gospodarcze, stajnie), nr 14/15 kupiec Albert Goldschmidt, nr 18 – kupiec Itzig Fischer, nr 21 – aptekarz Gustav Selle, nr 26 – hotelarz Siegfried Hirsh, nr 27 – właściciel drukarni i wydawca Salomon Meyer, nr 29 – kupiec Michel Meyer, nr 31 – kupiec Jacob Gotthelf...

To rzeczywiście wymowne zestawienie. Słyszysz się często opinie, że obywatele żydowscy wchodzili w posiadanie domów i posesji nie zawsze w uczciwy sposób, wykorzystywali polskich mieszczan, kombinowali na podatkach.

- W Kościanie tak nie było. Zachowały się akta notarialne transakcji kupna i sprzedaży z XIX wieku. I tu zaskoczenie – wszystko odbywało się zgodnie z prawem i kanonem uczciwości; Żydzi dobrze płacili, czasem nawet przepłacali. Płacili też największe podatki miejskie i bardzo rzadko korzystali z ulg. Wspomniany przeze mnie kupiec spod numeru 14/15 na Rynku - Albert Goldschmidt za

dom, zabudowania gospodarcze i dwie stajnie odprowadzał do kasy miejskiej tytułem podatku 2 270 marek rocznie, co było olbrzymią kwotą. Nie ulega wątpliwości, że toczyła się konkurencja i uderzające jest to, że Żydzi wykazywali w Kościanie niezwykle wysoki poziom solidarności wyznaniowej; rodzina wspierała rodzinę, wspólnie zbierano pieniądze na większe inwestycje itd. Tego nie da się powiedzieć o niemieckich, nie wspominając już polskich mieszczan. Myśmy się – między sobą - kłócili. Można było Żydom zazdrościć narodowej i wyznaniowej solidarności.

Zatrzymaj się na chwilę na Rynku przed domem nr 11, w którym lub za którym mieściła się w 1895 r. synagoga.

- Synagoga powstała w 1840 r. Mieściła się za domem nr 11 po prawej stronie działki. Na otwarcie zjechał do miasta sławny rabin, nieprzeciętny kaznodzieja, dr Adolf Wiener. Przez kilka lat był nawet w Kościanie rabinem. Był zwolennikiem asymilacji Żydów, od 1853 roku związał się z Opolem, otrzymał godność obywatela honorowego tego miasta i tam zmarł w 1895 roku. Na opolskim cmentarzu żydowskim zachował się mocno podniszczony jego grób.

Pozostań jeszcze przy synagodze. Jakie były jej losy?

- Wiele domów w obrębie Starego Miasta, w tym na Rynku w połowie XIX wieku pamiętało jeszcze dawne czasy – były małe, parterowe, niektóre jeszcze gliniane. Pierwsza synagoga i dom o numerze 11 też były skromne. Rozbudowa nastąpiła później. Wejście do bóżnicy prowadziło od strony obecnej ulicy Masztalerza, zwanej Tempelinstrasse (Tempel znaczy bóżnica), a także z Rynku przez korytarz domu gminy żydowskiej. Nazwa Tempelinstrasse wprowadzała w błąd historyków, którzy poszukiwali synagogi przy tejże ulicy. Dr med. Henryk Florkowski ustalił, że układ zabudowy działki Rynek 11 był następujący: dom gminy żydowskiej, zaraz za nim po prawej stronie synagoga, jeszcze dalej obiekty gospodarcze (szopy i szopki) i dwie stajnie. Z kolei Marian Koszewski przeanalizował końcowe losy bóżnicy. I ustalił, że: w domu o numerze 10 przy Rynku w czasie okupacji niemieckiej ulokowano siedzibę placówki kościańskiej Kriminalpolizei. Policja ta

nie miała aresztu. Dlatego podjęto decyzję o zagospodarowaniu sąsiedniej działki nr 11 z przeznaczeniem na nowe więzienie Kripo. Prace projektowe rozpoczęto w maju 1942 roku od rozbiórki bóżnicy, jednak potrzeby wojenne budżetu sprawiły, że zakończono je pod koniec 1943 roku. Projekt budowy więzienia Kriminalpolizei pozostał na papierze i na rysunkach. Nigdy nie wkroczył w sferę budowlanego wykonania. Godny polecenia przy tej okazji jest cykl artykułów mgr Magdaleny Lajszner w „Gazecie Kościańskiej”.

Ale zanim hitlerowcy zjawili się w Kościanie, stan posiadania obywateli żydowskiej znów zmalał do zera. Powiada się, że mieszcianie kościańscy w II RP wzięli odwet za ekspansję Żydów w zaborze pruskim.

- Muszę powtórzyć to, co powiedziałem o przejmowaniu pod zaborem pruskim przez obywateli żydowskich kościańskiego Rynku. A więc – nikt w II RP nie zmuszał w Kościanie Braci w Wierze do sprzedaży swoich dóbr. Wszystko odbyło się zgodnie z prawem i poczuciem uczciwości. Zachowały się akta notarialne. Gmina żydowska i jej członkowie sprzedali swoje własności na dobrych warunkach albo miastu, albo obywatelom czy firmom polskim. Przykładem mogą być losy wytwórni win i wódek Russaka, który sprzedał ją polskiemu przedsiębiorcy i przyjacielowi Wawrzyńcowi Czajce.

No tak, ale są tacy, którzy twierdzą, że Czajka go wykorzystał.

- Jak ktoś chce przypodobać się części obecnej polskiej opinii publicznej to napisze, że brzydki Russak oszukał Czajkę. Jak ktoś chce „podmaścić” opinii żydowskiej napisze, że brzydki Czajka puścił z torbami Russaka. Na szczęście historia nie znosi koniunkturalizmu. Prawda jest prosta. Ród Russaków z Kościana należał do bardzo zamożnych. Ta fabryka w Kościanie to był zaledwie mały wierzchołek wielkiego kapitału. Wawrzyniec Czajka był szanowany przez Russaków i to oni właśnie wybrali sobie jego na „następcę” w Polsce. Wiem, że bardzo długo utrzymywali z sobą wzajemne kontakty. Ale o tym później. (cdn)

TERESA MASŁOWSKA

WIECZÓR AUTORSKI EUGENIUSZA WACHOWIAKA



Od niedawna dostępny jest kolejny zbiór wierszy Eugeniusza Wachowiaka, autora nie raz goszczonego na łamach „Wiadomości Kościańskich”, laureata Nagrody „Za nieprzeciętność” z 1998 roku. Dwujęzyczny tom zatytułowany *Obwohl deine Sprache anders klingt/ Choć mowa brzmi różnie słowo jest za słowo. Gedichte/Wiersze* wyszedł drukiem w roku 2015 w Waldburgu. Dodać trzeba, że wyszedł staraniem niemieckich przyjaciół Eugeniusza Wachowiaka z kręgu Stuttgarckiego Domu Pisarzy i Niemiecko-Polskiego Towarzystwa w Stuttgarcie. Ich nazwiska znajdziemy na stronie redakcyjnej pięknego pod względem edytorskim tomu, który zawiera czterdzieści cztery wiersze z różnych okresów życia, z różnych wcześniejszych tomów poezji, wybranych przez autora. Przekładów dokonał sam Eugeniusz Wachowiak. O swych wierszach powiedział: „to jest moja spowiedź”. Ich lektura musi być niespieszna i uważna.

Eugeniusz Wachowiak od ponad pięćdziesięciu lat przybliży polskiemu czytelnikowi twórczość pisarzy niemieckojęzycznych. Tłumaczył wiersze i utwory prozatorskie m.in. Johanna Bobrowskiego, Paula Celana, Sarah Kirsch, Güntera Grassa, Reinera Kunzega, Rudolfa Leonharda, Else Lasker-Schüler, Johanna Poethena, Hansa Cibulki, Armina Müllera,

Leonie Ossowski, Annemarie Müller-Górzno, Werfla Franza, Ernsta Tollera, Rainera Wochele. Dwadzieścia pięć lat temu E. Wachowiak, reprezentujący poznański Oddział Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, podpisał umowę o współpracy z nieżyjącym już Joachimem Poethenem. W jej rezultacie po kilkudziesięciu twórców z Polski i z Niemiec, z Badenii-Wirtembergii, odwiedziło te kraje, odbyło wiele spotkań autorskich, poznawało środowiska twórcze.

Mówił o tym na wieczorze poświęconym promocji swego polsko-niemieckiego zbioru poezji Eugeniusz Wachowiak, „poeta, tłumacz literatury niemieckiego kręgu językowego, autor prozy poetyckiej, refleksyjnej i wspomnieniowej” (cytat z biogramu w promowanej książce), od którego debiutu minęło 60 lat, a jego pierwsza poetycka książka *Afryka poety* ukazała się w roku 1958.

Wieczór miał miejsce w Domu Literatury Biblioteki Raczyńskich w Poznaniu, w czwartek, 10 grudnia 2015 roku. Zgromadził wiele osób z poznańskiego środowiska literackiego, gości przybyłych spoza Poznania, członków rodziny twórcy. Obecni byli goście z Niemiec.

Spotkanie prowadził Sergiusz Sterna-Wachowiak, prezes Stowarzy-

szenia Pisarzy Polskich. Rainer Wochele opowiedział o okolicznościach powstania przedstawianego tomu. Jest on pewnego rodzaju darem niemieckich przyjaciół na 85 rocznicę urodzin Eugeniusza Wachowiaka, która przypadła 24 grudnia 2014 roku. Promocja w Stuttgarcie odbyła się w lipcu 2015 r., a że nie mógł na niej być autor, zatem przyjaciele z Niemiec: Usch Pfaffinger - była dyrektor Domu Pisarza w Stuttgarcie, Günter Guben - poeta, rysownik, grafik i Rainer Wochele - autor powieści *Desperat*, *Generał* i *klaun*, przyjechali na drugą promocję do Poznania.

O grafice w tomie mówił interesująco i dowcipnie Günter Guben, zdradzając tajemnice treści, które niosą jego prace. Bo czy można samemu odczytać, że rysunek na okładce prowadzi do Dantego Alighieri, Dyla Sowizrzęła, Goethego i ... nosorożca? I jaki ma to związek z Eugeniuszem Wachowiakiem?

Ważną częścią prezentowanego tomu jest esej Sergiusza Sterny-Wachowiaka zatytułowany *Trudny cud* o twórczości Eugeniusza, tematach jego utworów dotyczących ludzkiej egzystencji. Jego fragment, czytany przez autora, został zaprezentowany zebranej publiczności. Całość na język niemiecki przetłumaczyła Paulina Schultz.

Kilka wierszy przeczytał w języku polskim i niemieckim Eugeniusz Wachowiak. Gratulacje i rozmowy dopełniły całości wieczoru.

JANINA MAŁGORZATA HALEC

Sprache Anders klingt : Gedichte = Choć mowa brzmi różnie słowo jest za słowo : wiersze; mit Grafiken von Günter Guben ; Übersetzung Eugeniusz Wachowiak ; Nachwort Sergiusz Sterna- Wachowiak übersetzt von Paulina Schulz. – Waldburg : Demand Verlag, 2015. – 160, [4] s. : il. ; 22 cm.

Usta prawdy

Ja jeszcze tobie ufam
Stój zaczekaj dokończę
Oto usta są prawdy
więc ty swoje tu dołącz
i powtórz co mówiłeś
kładąc rękę głęboko
między wargi mięsiste
między zęby z kamienia

Nie zrobisz
Wiem bez tego
Swoim słowom nie skłamiesz
moim nie zaprzeczysz
Nic nie powiem nikomu
Ty już pozostaniesz
Sam na sam z sumieniem

Eugeniusz Wachowiak

Dwie mowy

Arminowi Müllerowi
Choć mowa brzmi różnie
słowo jest za słowo
które budowie służy
tak jak rusztowanie
wbite swobodną ręką
pod sam błękit nieba
...i prawda za prawdę

Eugeniusz Wachowiak

Twórczość Tadeusza Hofmańskiego

W ROKU DWA TYSIĄCE PIĘTNASTYM LISTOPADOWO-GRUDNIOWE Z EWĄ DOCHODZENIE KOŚCIANA

1.

W listopadzie z Kościanem spotykałem się kilka razy. Że w pierwszych dwu dniach miesiąca – to oczywiste. Byliśmy ze sobą milcząco: i u Ewy w Mórkwie, i u Rodziców na cmentarzu kościańskim. Zauważyłem, że w stosunku do Kościana, w przeciągu ostatniego pół roku, mocno się postarzałem. Wychwyliłem jego smutno zdziwione spojrzenie. I jakoś w tym momencie uświadomiłem sobie zbliżanie się Bożego Narodzenia. Uświadomiłem sobie rozpoczęcie przeżywania drugiego listopadowego nadchodzenia Bożego Narodzenia z Ewą Nadobecną. Kościan odszedł, jakby w tych okolicznościach chciał zachować delikatność.

Potem Kościan pofatygował się do Lipna. Akurat usiłowałem wytłumaczyć się Ewie, że mam problem, bo nie zdążyłem się od niej nauczyć noszenia serca na dłoni. Że zawsze coś nie pasuje, coś wstrzymuje i okazję, żeby dać trochę dobra, diabli biorą. Temat uchodźców. Ewa rugała mnie niemiłosiernie, a Kościan głupio się uśmiechał. Nie ogarniam. Mam mętlik. Żyję w czasoprzestrzeni szczęśliwie bezpiecznej, i dystansującej. Dającej komfort spokojnego namysłu.

Tak oto wgłębiając się w losy brzemiennej Maryi i Józefa, przechodząc do porządku dziennego nad rozpaczliwie szukającymi ocalenia bliskowschodnimi, afrykańskimi, ukraińskimi dziećmi, matkami, ojcami. I co?

2.

Kościan nie chce słuchać, jak skomplikowana jest rzeczywistość. Nie chciał słuchać, kiedy w piątkowy listopadowy wieczór zastał mnie przed ekranem telewizora śledzącego rwane relacje o masakrach dokonywanych

przez islamskich terrorystów w Paryżu. Nie chciał słuchać, że jestem malutki. Że terażniejszość wypcha mnie do ciemnego kąta, nie pozwalając stamtąd wyleźć. Wstydzę się przed Ewą i przed Kościanem. Jestem malutki, ale nie zrobiłem wszystkiego co powinienem. Dlatego niełatwo nam się rozmawia i trudno będzie uniknąć sporów w trzeciej imieniny Nadobecnej Ewy. Moje emocje Kościana nie zajmują.

Zatrzymując się w adwentowy dzień na wschodniej stronie kościańskiego Rynku, Kościan jednak spotykam. Jest Ewa. Milczymy. Ale milczymy milczeniem wspólnym. Milczeniem przedwigilijnym. Nasze terażniejszości są różne. Terażniejszość Ewy jest doskonała. Ze swojej Terażniejszości Ewa, milcząc, żąda, bym wreszcie rozpoznał, co powinienem zrobić, i wykonał. Kościan pozostaje pozornie neutralny. Ale może w trzeciej imieniny Nadobecnej Ewy nie będziemy się spierać.

HAIKU I

Żeglarz dziwi się
że brzeg tak niespodzianie
Nie wszędzie słońce

HAIKU II

Ewa była tak
jakby przelewać światło
mrok nastał nagle

HAIKU III

Zapadam lekko
i szczęśliwie w miękkość snu
Niech tak na wieki

TADEUSZ HOFMAŃSKI



Ze słownika absolwentów Zdzisława Wojtczaka

Fabiańczyk Edward /1913 – 1942/, urzędnik, współzałożyciel w Kościańskim Narodowej Organizacji Wojskowej. Urodzony 23 września w Eickel /Westfalia/ z ojca Marcina (górnika) i Wiktorii z Latanowiczów. W 1916 rodzina Fabiańczyków przeprowadziła się do Kościana. Uczęszczał do Szkoły Podstawowej Nr 1, a następnie do Państwowego Gimnazjum im. Św. Stanisława Kostki, gdzie w 1931 zdał maturę. Bezpośrednio po uzyskaniu świadectwa dojrzałości podjął studia na Wydziale Prawno-Ekonomicznym Uniwersytetu Poznańskiego. Po trzech latach, ze względu na trudne warunki finansowe rodziny, zrezygnował ze studiów i rozpoczął pracę jako urzędnik w prywatnej firmie Wawrzyńca Czajki w Kościanie.

W 1935 wstąpił do Stronnictwa Narodowego. W czasie okupacji, na początku 1940, był współzałożycielem w Kościańskim Narodowej Organizacji Wojskowej. 17 X 1941 został aresztowany przez Niemców. Przetrzymany najpierw w kościańskim więzieniu, następnie przetransportowany do Fortu VII. 14 IV 1942 przewieziony do więzienia w Pile. 10 VII 1942 skazany na karę śmierci. 21 VIII 1942 ścięty na gilotynie.

Z małżeństwa zawartego 2 VI 1938 w kościele farnym w Kościanie z Emilią Waldhelm miał troje dzieci: Włodzimierza Edwarda (1938), Ewę (1940) i Zdzisławę Różę (1941).

Bauer P.: „Dlaczego zginęli”, „Wiadomości Kościańskie”, Nr 1 z 1991, s. 10; Szczęsny Makowski: „Edward Fabiańczyk. Kim był? Jakim Go znałem?”, „Wiadomości Kościańskie” Nr 7 z 1994, s. 44; Informacje A. Szukalskiej.

Florczak Antoni Józef /1913 - 1939/, zawodowy oficer. Urodził się 14 kwietnia w miejscowości Frintrop Essen Berbeck z ojca Ludwika (robotnika) i Józefy z domu Ratajczak. Od szóstego roku życia uczył się w szkole niemieckiej w Frintrop, a od roku 1920, po przeniesieniu się rodziców do Kościana, uczęszczał do tutejszej szkoły powszechnej. Po jej ukończeniu od 1923 uczęszczał do Państwowego Gimnazjum im. Św. Stanisława Kostki w Kościanie, gdzie w 1931 zdał maturę. Bezpośrednio po uzyskaniu świadectwa dojrzałości podjął studia w zakresie matematyki na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym Uniwersytetu Poznańskiego. Przerwał je jednak po drugim roku ze względów materialnych. W 1934 został powołany do odbycia służby wojskowej i odbywał ją w Szkole Podchorążych Rezerwy Artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim. 14 VII 1935 rozpoczął naukę w Szkole Podchorążych Artylerii w Toruniu.

15 IX 1935 mianowany został na stopień kaprała podchorążego, 21 VII 1936 awansowany zaś na stopień plutonowego podchorążego, a 1 VII 1937 na stopień ogniomi-

strza podchorążego. W czasie studiów odbywał praktyki w 14 Wielkopolskim Pułku Artylerii Lekkiej w Poznaniu. Jako podporucznik rozpoczął w 1938 służbę w 7 Wielkopolskim Pułku Artylerii Ciężkiej w Poznaniu. Uczestniczył w Kampanii Wrześniowej w 14 Dywizji Piechoty. Poległ w czasie walk nad Bzurą. Nieznane są okoliczności jego śmierci, jak też i nieznane jest miejsce jego pochówku.

Informacje z USC w Kościanie i informacje od rodziny oraz dokumenty zachowane w Centralnym Archiwum Wojskowym.

Fryszak Krystyna /1920 – 1944/, studentka. Urodzona 7 listopada w Drohobyczu, z ojca Ludwika (profesora gimnazjalnego, m.in. od 1 września 1925 do 1 lutego 1930 ojciec jej uczył filologii klasycznej w Państwowym Gimnazjum im. Św. Stanisława Kostki w Kościanie) i Stefanii z domu Brüch. W 1938 zdała maturę w kościańskim Państwowym Gimnazjum im. Św. Stanisława Kostki. Bezpośrednio po uzyskaniu świadectwa dojrzałości podjęła studia polonistyczne na Uniwersytecie Poznańskim. Przerwał je wybuch wojny.

We wrześniu 1939 była ochotniczką służby sanitarnej. Początek okupacji spędziła w Kościanie. Później wysiedlona wraz z rodzicami do Generalnego Gubernatorstwa zamieszkała w Warszawie. Była tam studentką polonistyki na tajnym

Uniwersytecie Ziemi Zachodnich. Uczestniczka konspiracji. Należała do Armii Krajowej nosząc pseudonimy „Krystyna”, „Żaba” i „Poznańska”. Brała udział w Powstaniu Warszawskim. Nie dotarłszy na wyznaczony punkt, pozostała w służbie gospodarczej kompanii „Gertruda” batalionu „Gustaw” Zgrupowania AK „Róg”. Zginęła 13 sierpnia 1944 na ul. Kilińskiego od wybuchu miny zegarowej, umieszczonej w czołgu pułapce zdobytym przez powstańców.

Michalska H., Stopień M., Tazbir-Tomaszewska B., Turkowska W. i Zastocka W.: „Słownik uczestniczek walki o niepodległość Polski 1939 – 1945. Poległe i zmarłe w okresie okupacji niemieckiej”, W-wa 1988, s.10

Godlewska Krystyna Maria /1919 – 2001/, lekarz pediatra. Urodziła się 14 listopada w miejscowości Berszarda na Podolu z ojca Stefana (inżyniera cukrownika) i Zofii z domu Biernacka. Siostra Godlewskiego Bogdana i Godlewskiego Janusza. Z Berszardy w roku 1924 jej rodzice repatriowali się do Polski i zamieszkali w Kościanie, a jej ojciec – inżynier Stefan Godlewski podjął pracę w kościańskiej cukrowni. W 1929 ukończyła w Kościanie Prywatną Szkołę Podstawową. W latach 1929/1930 do 1932/1933 uczyła się w prywatnym gimnazjum w Polskiej Wsi koło Pobiedzisk. Od roku szkolnego 1933/1934 uczęszczała do Państwowego Gimnazjum i Liceum im. Świętego Stanisława Kostki w Kościanie. Tu też w 1938 zdała maturę.

Bezpośrednio po uzyskaniu świadectwa dojrzałości podjęła studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Poznańskiego. Przerwał je wybuch wojny. W listopadzie 1939 wraz z rodzicami i rodzeństwem została wysiedlona i zamieszkała w Warszawie. Pracowa-

ła jako higienistka w Komisji Zdrowia Oddziału Rady Głównej i Opiekuńczej na ul. Oczki w Warszawie. Równocześnie na tajnym Uniwersytecie Poznańskim zaliczyła II i III rok medycyny. Aktywnie działała w konspiracji. W latach 1942-1944 była członkiem Armii Krajowej. W ramach Wojskowej Służby Kobiet szkoliła sanitariuszki. W czasie Powstania Warszawskiego była Komendantem Szpitala Polowego Nr 2 przy ul. Zagórskiej na Czerniakowie. 15 IX 1944 została wzięta do niewoli i wywieziona na przymusowe roboty. Najpierw pracowała na budowie pod Wrocławiem, a następnie, aż do wyzwolenia, w Fabryce Lin Okrętowych w Greifenbergu.

W latach 1945-1948, studiowała na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Poznańskiego. 12 II 1948 uzyskała dyplom lekarza. Równocześnie, bo od 1 VIII 1946 do 31 V 1948, pracowała jako lekarz w Sanatorium dla Dzieci w Kamienniej Górze na Dolnym Śląsku. Od 1 VI 1948 do 1 X 1955 pracowała na oddziale chirurgii dziecięcej w Szpitalu dla Dzieci im. J. Korczaka w Łodzi. W 1952 uzyskała I stopień specjalizacji z zakresu pediatrii. Od 1 X 1955 do 30 IV 1959 była oddelegowana do Szpitala Wojewódzkiego w Rzeszowie, gdzie prowadziła pododdział chirurgii dziecięcej. W 1959 uzyskała II stopień specjalizacji z chirurgii dziecięcej. 1 V 1959 została ordynatorem Oddziału Chirurgii Dziecięcej w Szpitalu im. J. Korczaka w Łodzi. Na tym stanowisku pracowała do 15 V 1962. Z tym dniem, z powodu stanu zdrowia, przeszła na rentę. Pracowała jeszcze, od 1 IX 1962 do 30 V 1979, jako lekarz higieny szkolnej na Bałutach w Łodzi. Z dniem 1 VII 1977 przeszła na emeryturę. Zmarła 17 września 2001 w Łodzi. Została pochowana na cmentarzu w Łodzi. Z małżeństwa zawartego 23 VIII 1952 w Łodzi z Bohdanem Chmielewskim miała syna Andrzeja (1954).

Informacje Krystyny Godlewskiej - Chmielewskiej.

Górecki Bolesław /1919 – 1940/, podchorąży, uczestnik kampanii wrześniowej, więzień Oświęcimia. Urodził się 29 grudnia w Lesznie z ojca Jana (przemysłowca) i Józefy z Frąckowiaków. Od 1930 uczeń Gimnazjum im. A. Komeńskiego w Lesznie i członek I Leszczyńskiej Drużyny Harcerskiej. Później uczeń Państwowego Gimnazjum im. Św. Stanisława Kostki w Kościanie, gdzie w 1938 otrzymał świadectwo dojrzałości. Po maturze odbywał służbę wojskową w Szkole Podchorążych w Zegrzu koło Warszawy. Stamtąd w ramach Dywizyjnego Szwadronu Łączności przynależącego do Wielkopolskiej Brygady Kawalerii, w stopniu plutonowego podchorążego, wyruszył na wojnę 1939 roku. Walczył nad Bzurą i w obronie Warszawy. Wzięty do niewoli uciekł z obozu etapowego na ul. Głównej w Poznaniu. W pierwszych dniach kwietnia 1940 wespół z kolegami podjął próbę przedarcia się na Węgry. Pochwycony przez żandarmerię słowacką w okolicach Jabłonki. 3 V przewieziony do Suchej Hory, a stamtąd dnia następnego, do Czarnego Dunajca, gdzie przejął go Gestapo. 22 V umieszczony w więzieniu na Montelupich w Krakowie. 11 IX przetransportowany do więzienia w Tarnowie. Tam sąd doraźny wymierzył mu karę śmierci zamienioną następnie na pobyt w niemieckim obozie koncentracyjnym. 11 XI przewieziony do Oświęcimia. 11 grudnia 1940 zmarł w obozie na tyfus. Nie założył rodziny. Pozostawił po sobie wstrząsające zapiski z oświęcimskiego obozu, które trafiły do rąk jego rodziców.

Florkowski H.: „Trzej przyjaciele z Gimnazjum”, „Wiadomości Kościańskie” Nr 11 z 1993, s. 19.

ZDZISŁAW WOJTCZAK

*) *Tekst jest fragmentem obszernej całości z przygotowywanego do wznowienia Słownika Absolwentów Gimnazjum i Liceum w Kościanie.*



Prof. Helena Tadeuszak 1909- 1982 (II)

Działalność w okresie okupacji w latach 1939-1945

(...) Pod koniec sierpnia i w pierwszych dniach września 1939 roku rozpoczęła się rzeczywista akcja na kościańskim dworcu kolejowym. Kościańskie harcerki przynosiły codzienną pomoc uchodźcom, napływającym tłumnie z terenów pogranicznych. Zachowała się bardzo szczegółowa relacja Heleny Tadeuszak z jej różnorodnych działań, które podejmowała wierna harcerskiemu przyrzeczeniu w okresie wojny. Uderza ich rzeczowy ton, skupienie na konkrety i konsekwentnie skromna postawa.

„(...) W ostatnich dniach sierpnia 1939 r. otrzymałam z Komendy Chorągwi w Poznaniu polecenie jak najszybszego zlikwidowania akcji obozowej na zachodniej granicy w powiecie leszczyńskim i rawickim. Pojechałam natychmiast w teren. W pełni pracował jeszcze obóz Służby Pogranicza w Krzyczku około Leszna, zorganizowany przez Komendę Hufca z Krotoszyna. Na moje polecenie obóz został zwinięty w ciągu 12 godzin. Rozwiązałam również obóz na terenie powiatu rawickiego koło Zbarze-wa. Bezpośrednio z terenu udałam się do Poznania na zebranie instruktorek, zwołane do Komendy na życzenie VII DOK (Wydział II) Zapropo-nowano nam służbę w wojsku z warunkiem poddania się bezwzględnej dyscyplinie wojskowej z wykonywaniem wyroku śmierci włącznie. Zgłoszenia były dobrowolne. Na takie warunki nie mogłam się zgodzić i postanowiłam podejmować prace według własnego uznania i zgodnie z sumieniem.



Prof. Helena Tadeuszak (* 1909, † 1982)
Oryginał w zbiorach Kazimierzy Ruszkiewicz

Jako Komendantka Hufca w Kościanie zorganizowałam na dworcu kolejowym w Kościanie punkt opieki nad cywilnymi uciekinierami z terenów pogranicza. Wszystkie dziewczęta z drużyny gimnazjalnej i drużyn pozaszkolnych zgłosiły swą gotowość do pracy. Utworzyły kilka zastępów z następującymi zadaniami:

- zdobywanie żywności w piekarniach, sklepach rzeźnickich i spożywczych ofiarowanej przez ich właścicieli
- przygotowywanie ciepłych posiłków (napoje i zupy) oraz paczek z kanapkami
- służba peronowa polegająca na rozdawaniu posiłków i paczek żywnościowych
- udzielanie pomocy sanitarnej chorym, słabym, dzieciom i zaopatrywanie ich w leki i opatrunki (...)

Służba ta trwała od 29 sierpnia do 3 września 1939 roku. W pierwszych dniach września harcerki roznosiły również przesyłki zalegające na poczcie, kilka harcerek podjęło pracę pielęgniarską w szpitalu.

Kolejny fragment wspomnień Heleny Tadeuszek dotyczy pomocy udzielanej osobom wysiedlonym, jakiej podjęła się na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Tadeuszek była członkiem założonej przez prymasa Hlonda i działającej legalnie na terenach GG - Rady Głównej Opiekuńczej, której zadaniem było udzielanie pomocy doraźnej i materialnej zarówno uchodźcom jak i jeńcom przebywającym w obozach.

„(...) Wkrótce zaczęły się pierwsze wysiedlenia. Pierwszy transport z Kościana i powiatu kościańskiego został skierowany do Kosowa Lackiego w powiecie sokołowskim. Wiele rodzin, szczególnie wielodzietnych, wyjechało bez najbardziej potrzebnych rzeczy. Po otrzymaniu adresów

podjęłam w ciągu stycznia, lutego i marca 1940 roku systematyczne, cotygodniowe dowożenie do wysiedlonych żywności i odzieży, dostarczonych mi przez rodziny. Nieraz towarzyszyła mi któraś z harcerek. Podczas jednej mojej podróży do Kosowa Lackiego została wysiedlona moja rodzina, a mieszkanie zapieczętowane. Zamieszkałam u sąsiadów. Drugi transport z miasta i powiatu skierowano do Kazimierzy Wielkiej pod Miechowem. Teraz rozpoczęły się dojazdy w tym kierunku. Nie trwało to długo, bo coraz trudniej było o przepustki do Generalnej Guberni [w tekście zachowano określenie potocznie używane, chodzi o Generalne Gubernatorstwo – dopis. V. Julkowska]. Poza tym nie miałam własnego mieszkania. Wyjechałam dobrowolnie do rodziny do Kazimierzy Wielkiej. Tam z miejsca nawiązałam kontakt z dr. Stanisławem Tymcem prof. Uniwersytetu Poznańskiego, celem podjęcia tajnego nauczania. Niebawem przybyli z Krakowa dyrektor Pawłowski z żoną i utworzyliśmy zorganizowaną „Radę Pedagogiczną”, która nie tylko prowadziła tajne nauczanie, lecz przeprowadzała egzaminy dojrzałości oraz egzaminy promocyjne dla młodzieży uczącej się samodzielnie lub nauczycieli niewykwalifikowanych. Tajne nauczanie odbywało się w prywatnych mieszkaniach, często zmienianych w ogólnie znanych warunkach. Załączam oświadczenie o zweryfikowaniu tajnego nauczania przez władze oświatowe.

Ponieważ nie miałam kontaktu z instruktorkami harcerskimi, podjęłam się przede wszystkim opieki nad wysiedlonymi. Zresztą sami przychodzili do mnie w różnych sprawach: o napisanie wniosku w języku niemieckim czy też o interwencję w gminie dla zmiany niewygodnego mieszkania.

Celem zdobycia środków na utrzymanie podjęłam pracę tłumaczki w nadkomisariacie.

Dzięki tej pracy mogłam pomagać wielu ludziom np. w uzyskaniu przepustek do „więzienia” czy też tzw. Bezugscheinów (talony na towary). Przychodzili też ludzie z donosami. Od takich spraw mnie natychmiast odsuwano i wzywano tłumacza żandarmerii. Były jednak wypadki, że zdołałam uprzedzić zagrożonych, czy to przez oddziały AK czy poprzez tłumaczy w gminach, przy pomocy umówionego szyfru. I tak na skutek mojego ostrzeżenia przez tłumacza gminy Piotra Kaliszewskiego całą wieś Czarkowy uratowała się od pacyfikacji, chroniąc się w okolicznych lasach.

Do pomocy wysiedlonym, szczególnie tym którzy nie mogli podjąć pracy zarobkowej, założyliśmy w Kazimierzy Wielkiej Oddział Rady Głównej Opiekuńczej (RGO). Przewodniczącym został ks. Leśniak z Kazimierzy Wielkiej. Sama zostałam v-ce przewodniczącą i do końca wojny zostałam na tym stanowisku.

Dla najbardziej potrzebujących staraliśmy się o różne przydziały (cukier, mąka, wędliny) organizowaliśmy corocznie opłatki, święcone oraz liczne imprezy patriotyczne. Ściągnaliśmy dobrych muzyków, a w ramach tajnych kompletów przygotowywaliśmy recytacje oraz tańce narodowe. Nasze koncerty ściągaly tłumy słuchaczy. Nasza praca wzmogła się po Powstaniu Warszawskim. Przywieziono do Kazimierzy Wielkiej ogromne transporty Warszawiaków, głównie kobiety i dzieci. Między innymi przyjechali: harcmistrzyni dhna I. Zwadakowska, hm Wiza i dr M. Luziński. Dwóch ostatnich wciągnęłam do pracy w RGO. Jeździłam często do Miechowa, a nieraz do Krakowa. W ramach tej pracy zetknęłam się w Krakowie z hm J. Łapińską. Przez cały okres okupacji wysyłałam paczki do obozów jenieckich, między innymi do Dezyderego Chłapowskiego, Stanisława Giezka i prof. Konrada Szukalskiego. Natychmiast po wyzwoleniu Kazimierzy Wielkiej utworzyliśmy tam gimnazjum. Po

przeprowadzeniu egzaminów wstępnych wróciłam do Kościana jako pierwszy nauczyciel przedwojennego gimnazjum i liceum w tym mieście. Z pomocą nowych polskich władz miejskich przystąpiliśmy do organizowania szkolnictwa(...)

(Zbiory Archiwalne Komisji Historycznej Chorągwi Poznańskiej, Dz.7/6/28)

Słowa Heleny Tadeuszek dotyczące jej działań na terenach Generalnego Gubernatorstwa potwierdzają wspomnienia i świadectwa wielu osób, którym pomogła. Jedną z takich osób była Aniela Walter-Lehmann (1923-2010) absolwentka GiL w Kościanie (matura 1947), która swoje pierwsze spotkanie z Heleną Tadeuszek opisała we fragmencie niepublikowanej autobiografii *Ja, Ander. Wielka Blizna*, póki kołacze się we mnie życie.

„Panią Prof. Helenę Tadeuszek poznałam ok. 1944 roku, na wysiedleniu w Generalnej Guberni. Mieszkaliśmy wtedy w Działoszycach, gdy któregoś dnia ojciec zwraca się do mnie: - Anielka, musisz pojechać do Kazimierzy Wielkiej, do urzędu przesiedleńczego (sprawa dotyczyła jakiś formalności związanych z przeniesieniem nas z Bronocic do Działoszyc). Wsiadłam do pociągu, gdzie był tylko jeden przedział osobowy, a reszta to wagony towarowe. Tylko po obu stronach przedziału były ławki. Po jednej stronie siedzieli Niemcy, po drugiej my, pasażerowie. Od samego początku jak tylko weszłam, jeden z Niemców wtopił we mnie oczy, tak natarczywie, że zaczął ogarniać mnie strach. Do Kazimierzy jeszcze taki kawał drogi, a ten nie spuszcza ze mnie wzroku. Strach mój wzrasta i wprost paraliżuje. Siedząca obok mnie kobieta mówi: - On Cię za chwile połknie. W takim strachu dojeżdżam do Kazimierzy. Miła kobieta towarzyszy mi w drodze do urzędu, sugeruje, że nie powinienam wracać tym pociągiem sama.

– Ci Niemcy to zaopatrzeniowcy, którzy tutaj odbierają zwierzęta z dostaw obowiązkowych dla Rzeszy, innego pociągu dziś już nie będzie, musisz się przemknąć koło wag zwierzęcych i wyjść przed dworzec. Tam jakiś chłop cię zabierze z powrotem do Działoszyc- poradziła. Towarzyszyła mi, aż nie wsiadłam na wóz prowadzony przez chłopca ze Skalbmierza. Mniej więcej rok później, w 1945 roku spotkałam tamtą kobietę w Kościanie. Zbliżał się wrzesień i czas rozpoczęcia szkoły. Ojciec zwrócił się do zarządu miasta w Kościanie o przydzielenie jakiegoś lokum. Po wojnie w naszym Krzywiniu nie mieliśmy już do czego wracać... Odpowiedź przyszła szybko, że przydzielono nam mieszkanie u państwa Kucnerów przy ul. Bączkowskiego. Kiedy pierwszego dnia, wraz z siostrą – Teresą zjawiłyśmy się w szkole, pierwszą osobą, na którą się natknęłam była pani, która udzieliła mi pomocy w Kazimierzy, dowiedziałam się, że nazywa się Helena Tadeuszek (dla nas na zawsze pozostała Telimeną). Ona też poznała mnie natychmiast. Było miłe, serdeczne przywitanie. Następnego dnia całe grono profesorskie wiedziało jak uciekałam przed natarczywym Niemcem (...)

O innych wojennych przeżyciach z udziałem Heleny Tadeuszek wspomina Barbara Pawicka z d. Igłowicz:

„Helena Tadeuszek – przyjaciółka naszej rodziny, człowiek niesamowitej wrażliwości i serdeczności, dla którego pomoc innym i życzliwość były mottem życia. Moi Rodzice Kazimiera i Bolesław Igłowiczowie w czasie II wojny światowej, w maju 1941 roku zostali przez Niemców wyprowadzeni z domu i wraz z grupą Kościaniaków przetransportowani koleją do Łodzi. Osadzono ich w obozie przejściowym w Konstancynie koło Łodzi. Po kilku tygodniach wyse-

lekcjonowano rodziców do grupy przeznaczonych na roboty do Niemiec. Pani Helena podjęła starania o wydobycie Ich z obozu. Zwróciła się do władz niemieckich podając powód, że Tato mój zna dobrze język niemiecki i jest potrzebny jako tłumacz. Dzięki tym staraniom zdarzył się cud. Po dwóch miesiącach pobytu w obozie, usłyszeli podczas apelu, że są zwolnieni i mają przymusowo osiedlić się w Generalnym Gubernatorstwie. Rodzice przenieśli się do Kazimierzy Wielkiej, gdzie Tato został zatrudniony w miejscowym Landracie (starostwo miechowskie). Rodzice zamieszkali w domu, w którym mieszkała wysiedlona Pani Helena z Rodziną. W Kazimierzy Wielkiej Pani Helena i mój Tato prowadzili tajne nauczanie w zakresie szkoły średniej (fakt ten został potwierdzony w książce Adama Masalskiego „Szkolnictwo na Kielecczyźnie w okresie okupacji 1939-1945”). Urodziłam się tam „na wygnaniu” w Kazimierzy Wielkiej w 1942. W dowód wdzięczności Rodzice moi poprosili „ciocię” Helę, by została moją matką chrzestną. Z mojego dzieciństwa pamiętam niewiele. Wracaliśmy do Kościana w kwietniu 1945. Utkwiła mi w pamięci jej serdeczność i pamięć w stosunku do wszystkich. Wspominam miłe spotkania, drobne upominki z okazji Gwiazdki, imienin, śpiewanie kolęd oraz wspomnianie znajomych, zdarzeń i wspólnie spędzonych chwil. Taka „ciepła”, miła i serdeczna została w mojej pamięci Ciocia Helena Tadeuszkówna”. (cdn)

VIOLETTA JULKOWSKA

Nota bibliograficzna:

Opublikowany fragment pochodzi z wydanej staraniem Stowarzyszenia Absolwentów Gimnazjum i Liceum w Kościanie pracy: V. Julkowska, Prof. Helena Tadeuszek 1909-1982, Kościan 2014.



Opowieść o żołnierzu tułaczku

Bohater reportażu w swoim poznańskim mieszkaniu w 2015 r.

Fot. Teresa Maślowska

- Przed 1 września przyjechał kapelan pułkowy odprawić mszę polową. W czasie nabożeństwa odbyła się zbiorowa spowiedź. Kilkuset żołnierzy spowiadało się mocnym głosem. To było jak przygotowanie się na śmierć – wspomina Marian Wnuk z Poznania. We wrześniu 1939 roku uczestniczył w wojnie obronnej w szeregach 61 pułku piechoty. Po klęsce na kilka miesięcy trafił do stalagu pod Kolonią, przed Gestapo uciekł do Generalnego Gubernatorstwa, tam tułał się po różnych miejscach. Koniec wojny zastał go w Częstochowie.

Marian Wnuk urodził się 25 marca 1920 r. w Arcugowie pod Gnieznem. Rodzice Władysław i Maria byli nauczycielami; ojciec uczył matematyki i historii, matka uczyła najmłodsze dzieci. Zmarła nagle w 1930 r. osierocając trzech synów i córkę. Rodzina nigdy nie poznała

przyczyny jej śmierci. Wnuk chodził do szkoły powszechnej w Arcugowie.

- Budynek jeszcze stoi, w tym roku byłem zobaczyć miejsce, w którym się urodziłem. Szkoły już nie ma, gmina sprzedała ją w prywatne ręce, urządzono tam całkiem wygodne mieszkania. W Niechanowie chodziłem do szkoły powszechnej, ją także odwiedziłem w tym roku, nadal funkcjonuje.

Ojciec awansował na kierownika niechanowskiej szkoły, potem kierował szkołą w Bydgoszczy. Ponownie się ożenił się. Rok przed wybuchem wojny Marian ukończył gimnazjum i zdał maturę. Marzył o studiach na Wydziale Elektrycznym na Politechnice Lwowskiej, słynącej z wybitnych profesorów i wysokiego poziomu nauczania, ale wojsko pokrzyżowało mu szyki. Zamiast studiów otrzymał powołanie na roczną podchorążówkę w 61 Pułku Piechoty w Bydgoszczy, tego, który wcześniej

wstąpił się w bojach w powstaniu wielkopolskim i wojnie polsko-bolszewickiej. Promocję na podchorążego uzyskał na przełomie czerwca i lipca 39 r. Do cywila już nie wyszedł, bo wszystkie znaki na niebie i ziemi zwiastowały wojnę. Służbę przedłużono bezterminowo. W kompanii przeciwpancernej uczył się obsługiwać działa. 61 pułk wszedł w skład Armii „Pomorze”.

„A więc wojna”

Na przełomie lipca i sierpnia ich pułk stał na pozycjach obronnych na linii Bydgoszcz, Nakło, Piła. Bydgoszcz leżała wtedy zaledwie kilkadziesiąt kilometrów od niemieckiej granicy. Jego patrol ubezpieczał szosę Bydgoszcz-Nakło. Żołnierze kwaterowali przeważnie na wsiach u gospodarzy, on z kilkoma żołnierzami na plebanii.

- Dwa, może trzy dni przed 1 września przyjechał kapelan pułkowy,



Marian Wnuk (pierwszy z lewej) wśród przyjaciół na przelocie 1943/1944

zresztą znajomy katecheta z gimnazjum żeńskiego, odprawić mszę polową. W czasie nabożeństwa odbyła się zbiorowa spowiedź. Kilku żołnierzy spowiadało się mocnym głosem. To było jak przygotowanie się na śmierć. Mocno to przeżyłem.

Z piątku na sobotę ogłoszono alarm bojowy. Zaczęło się. „A więc wojna” – zakomunikował prezydent Warszawy Stefan Starzyński. Marian Wnuk pierwsze dni zapamiętał tak: - Panował nieopisany chaos, tłumy w panice uciekały od Nakła w stronę Bydgoszczy. Uciekający opowiadali o bombardowaniach, o strzelcach pokładowych, którzy strzelali do bezbronnych ludzi jak do kaczek. Już w niedzielę na przedpolu pojawiły się niemieckie patrole. Około południa rozkazano zwinąć czaty i ustawić się na pozycjach bojowych. Dochodziły nas słuchy o Krwawej Niedzieli - niemieckiej prowokacji, jednak wtedy nie wiedzieliśmy dokładnie, co się dzieje. Wieści były niepokojące. Niebawem zaczęliśmy się wycofywać. Dowodziłem oddziałem, jednak nie dostałem żadnych rozkazów, zostawili nas samych. Miałem zaledwie 19 lat, a tu taka odpowiedzialność. Gorączkowo zastanawiałem się, co mam zrobić. Naokoło wszyscy się wycofali. Rozkazałem zabrać amunicję i wycofaliśmy się.

Lasami szli w kierunku Bydgoszczy, po drodze dołączając do pozostałych oddziałów. Pułk zebrał się gdzieś w okolicy Bydgoszczy. Po drodze epizod z piątą kolumną. Z drzewa ktoś do nich strzelał. Wściekli żołnierze ściągnęli Niemców i mówią: – Rozstrzelać diabłów! – Nie można – odpowiedział Wnuk, każąc odprowadzić ich do dowództwa.

Exodus ludności cywilnej nie miał końca. Drogą wciąż płynęły kolumny uciekających, zdezorientowanych ludzi. Od znajomych dowiedział się, że w tłumie są także jego bliscy. Ojca zobaczył pierwszego, z walizką prowadzącego rower, za nim siostrę z torbą i ukochanym psem, na końcu matkę z tobołami. Z początku nie poznali smukłego żołnierza w hełmie, długim płaszczu i z karabinem. Z żalem patrzył, jak szli zgarbieni i zmęczeni w kierunku Inowrocławia. On z wojskiem ruszył ku Bydgoszczy. Tam obsadzili służę nad Kanałem Bydgoskim. Ogniem artyleryjskim dowodził jego profesor z gimnazjum. W nocy strumieniem szli niemieccy partyzanci, kiedy spostrzegli patrol wycofali się. Następnej nocy nasi ponownie usłyszeli kroki, puścili serię z karabinu maszynowego i nocne podchody się skończyły.

Po kilku dniach pułk otrzymał rozkaz wymarszu w kierunku Warszawy. Szli na

Inowrocław, dalej wzdłuż Wisły na południe. Mijali trupy zmasakrowane przez niemieckie lotnictwo. Z niepokojem sprawdzali, czy nie ma wśród nich kogoś bliskiego. Po drodze z różnym wynikiem stoczyli kilka potyczek. Tak dotarli nad Bzurę – miejsca największej bitwy w tej kampanii, w której na początku wojsko polskie zadało Niemcom dotkliwe straty. W bitwie walczyły armia „Poznań” i „Pomorze”. Bitwa trwała kilka dni. Ostatecznie zakończyła się naszą klęską. 19 września dowiedzieli się o inwazji Sowiec. Ostatecznie Niemcy rozbili nasze wojska. Nad Bzurą 61 pułk zostawił wszystko: sprzęt, broń i nadzieję na zwycięstwo.

- Górowali znacznie nad naszym uzbrojeniem, na klęsce zaważył m.in. prawie zupełny brak lotnictwa, ogromne problemy z łącznością, poza tym wyposażenie, oni dysponowali zmotoryzowanymi działkami przeciwpancernymi, my używaliśmy konnych – podsumowuje Marian Wnuk.

Krajobraz po bitwie

W grupie około 20 żołnierzy z kapitanem lotnictwa ruszyli na odsiecz stolicy. Przed Puszczą Kampinoską głodnych i zmęczonych zaatakował niemiecki oddział. W potyczce kapitan został ranny. Grupa rozpierzchnęła się.

Wnuk doniósł rannego do jakiejś chałupy, żeby opatrzyć ranę. Pozwolono im się przespać. Rano pojawili się Niemcy, aresztowali ich. Wnuk, który znał niemiecki, wytłumaczył, że kapitan potrzebuje lekarza. Karetka odwiozła go do szpitala. Wieczorem Wnuka odprowadzono do punktu zbornego na stadion sportowy w Żyrardowie. Nad głodnym zlitował się towarzysz niedoli Gawroński, znajomy z Bydgoszczy. Oddał mu zapasową menażkę. W tych warunkach był to dar serca. Po kilku dniach transport do obozu jenieckiego. Trafił do stalagu dla podoficerów i szeregowych, gdzieś niedaleko Kolonii nad Renem. Warunki podłe, spanie na ziemi, na którą rzucono trochę słomy. Rano otrzymywali jeden chleb, który przypadał na 18 jeńców, kawa, w południe cienka zupa. Ciągłe chodził głodny. Kiedy wyżywienie przejął Czerwony Krzyż sytuacja nieco się poprawiła.

Jesień była ciepła i słoneczna tamtego roku. Niemcy spacerowali nad rzeką, widząc jeńców wykonywali ruch ręką sugerujący podcięcie gardła, ale wojskowi, którzy ich pilnowali nie zachowywali się podle, nie było z ich strony nienawiści, znęcania się nad jeńcami. W obozie strażnikami byli starsi wiekiem rezerwiści. Jeden z nich prowadził kiosk z gazetami, rozmawiali w esperanto, którego uczył się w szkole. Czasem podrzucił mu papierosy lub cygaro. Mógł je wymienić np. na kawałek chleba.

- W życiu z opresji wiele razy ratował mnie łut szczęścia. Ten Niemiec powiedział, że będą szukali ochotników na wykopki buraków, a potem zwolnią do domu. Zgłosiłem się, przewieźli nas do gospodarstw, pod nadzorem ciężko pracowaliśmy, ale przynajmniej mogłem najeść się do syta.

Słowa dotrzymali. Na wigilię wrócił do domu. Już po zmierzchu zapukał do okna, gdzie była sypialnia rodziców, ojciec przestraszył. Po przyjeździe do Bydgoszczy miał obowiązek zameldować się na Gestapo. Zastanawiał się, kiedy pójść, żeby nie trafić z powrotem do obozu.

- Poszedłem w ostatni dzień roku, byli już podchmieleni, więc mną się zbytnio nie interesowali, zarejestrowali i puścili. Miałem kolegę, Kurta Bartoszewskiego, jego matka była Niemką, ojciec Polak. Był słaby, maturo nie zdał



Książka pracy w gospodarstwie ogrodniczym w Brzeszinach

Fot. (2x) w zbiorach Mariana Wnuka

i kontakt się urwał. Przypadkiem spotkałem go pewnego dnia na ulicy, radził żebym nie szedł do Arbeitsamtu, bo mnie wyślą na roboty do Rzeszy. Szedłem do domu, a sąsiedzi ostrzegli mnie, że Gestapo mnie szukało. Zawróciłem i poszedłem przechować się u znajomego lotnika Jachicach. Przez znajomych skontaktowałem się z rodzicami, ojciec przesłał mi bieliznę i 20 złotych. Postanowiłem uciec do Generalnego Gubernatorstwa.

W katolickiej komunie

Do granicy w Kutnie dojechał pociągiem bez kłopotów. Przy sobie miał tylko świadectwo maturalne i zwolnienie z obozu, które potem zniszczył. Nie wiedział, co dalej robić. Zaczepił dorożkarza, który obiecał pomóc. Jednak fortel z przejściem na drugą stronę z rzekomą żoną, nie udał się. Aresztowano go za brak dokumentów. Na pytanie komendanta skąd jest, jakiś szósty zmysł podpowiedział mu, żeby podać Warszawę, ale chce jechać ciotki do Płocka.

- Oglądał to moje świadectwo, wyczytywał dobre oceny, ale że wydane w Bydgoszczy nie zauważył. Wreszcie oznajmił: – Nie możesz sobie tak jeździć, wracaj do Warszawy. Odetchnąłem. Noc przespałem w stogu. Jakiemuś handlarzowi pomogłem dźwigać szmuglowany towar i tak dostałem się do stolicy. Tam na Ujazdowskiej w wojskowym szpitalu lekarzem był mój przyszły szwagier. Na krótko ulokował mnie u swego kolegi - adwokata z Kcyni.

Brat Teobald mieszkał w Wąwolnicy na Lubelszczyźnie. Z początku nie wiodło mu się najlepiej, ale także był lekarzem, zaczął leczyć i pacjenci płacili

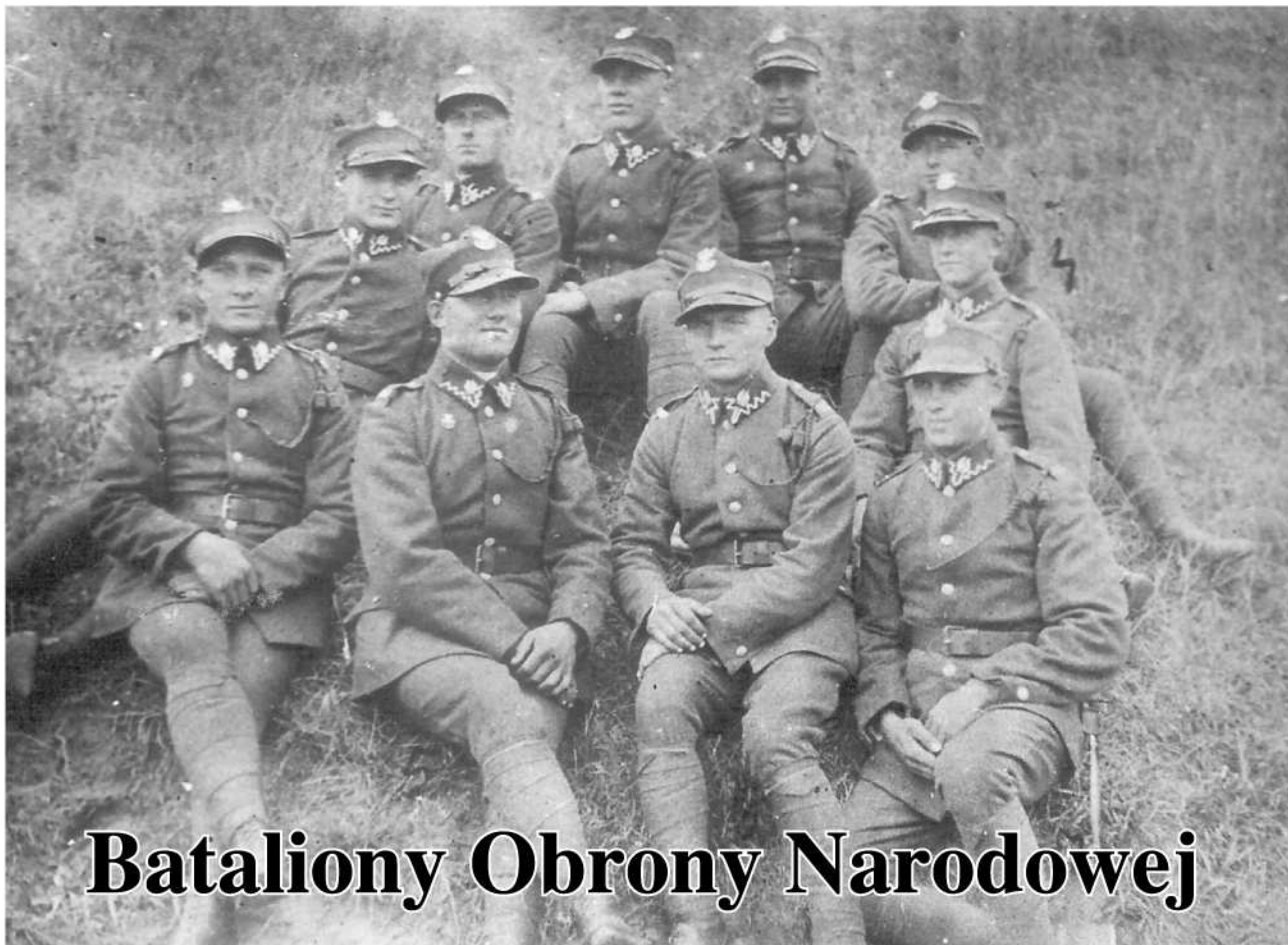
tym, co kto miał; chlebem, jajkami. Marian został jego pomocnikiem, pomagał przy zabiegach, czasem coś ugotował. Potem ściągnęli siostrę Jadwigę z Bydgoszczy, żeby im prowadziła gospodarstwo. Szwagra zwolnili ze szpitala wojskowego przyjechał do nich. Siostra zachorowała na zapalenie płuc. Szczęściem w domu dwóch lekarzy, mimo że nie było penicyliny – odratowali ją. Szwagier w innej wsi zaczął leczyć, urządzili sobie skromne mieszkanie. Niestety, prawdopodobnie wskutek doniesienia Gestapo aresztowało brata. Transportem wysłano go do obozu w Auschwitz.

Marian musiał szukać innego miejsca. Tymczasem drugi brat ksiądz Klemens, zmuszony uciekać z Bydgoszczy także osiadł na Lubelszczyźnie. Tam z kilkoma innymi księżmi w Brzeszinach wydzierżawili gospodarstwo. Marian dołączył do nich, żeby pomóc.

- Stworzyliśmy taką katolicką komunę. Pięciu księży; jeden starszy rezydent, czterech młodych wyświeconych na rok przed wojną i ja. Nieformalnym szefem był Kazimierz Żarnowiecki, jedyny miał jako takie pojęcie o rolnictwie, był m.in. proboszczem w szkole rolniczej w Nowym Tomyślu. Gospodarzyliśmy na 14 morgach, utworzyliśmy warzywny ogród. Pobudowaliśmy cieplarnię, budynek gospodarczy, ogarnęliśmy chałupę. Pieniądze były wspólne. W sąsiednich Siedliszczach założyliśmy sklepik, gdzie sprzedawaliśmy nasze warzywa. Nawet kupiliśmy auto, żeby dowozić towar do Lublina. Stara gospodyni nam gotowała i sprzątała, ludzie z wiosek przychodzili pomagać przy uprawie. Na co dzień księża nie chodzili w sutanach, ale w niedzielę w szczytowym pokoju na poddaszu odprawiali mszę świętą.

Pod opieką Mariana było dwieście inspektów z warzywami – pomidorami, kapustą, ogórkami. Tak przetrwali od 1941 roku aż do 2 połowy 1944 r. W grudniu, kiedy przeszedł przez tamte tereny front sowiecki, Marian wyjechał w Góry Świętokrzyskie. Wkrótce przyjechała jego przyszła żona, którą poznał w Lublinie. Kiedy zaczęło się robić niebezpiecznie wyjechali do Częstochowy. Tam zastał ich koniec wojny.

TERESA MASŁOWSKA



Bataliony Obrony Narodowej

Żołnierze batalionu ON „Kościan”, maj 1939r.

Na fot. m. in. Stefan Skrzypczak, Edmund Pełczyński, Jan Żak, Marcin Maraszek, Teodor Hytry i Feliks Tyliński

W pierwszym dniu wojny wydzielone grupy osłonowe garnizonu leszczyńskiego, poza stratą Rawicza i Bojanowa, zadania swoje wykonały. W przygranicznych starciach z wrogiem sprawdziły się także sformowane z rezerwistów starszych roczników oddziały Obrony Narodowej. Tego dnia część 1 kompanii batalionu Obrony Narodowej „Rawicz” pod dowództwem porucznika Mariana Lewickiego wraz z plutonem kolarzy leszczyńskiego batalionu Obrony Narodowej podporucznika Edmunda Ratajczaka, częścią szwadronu kolarzy 17 pułku ułanów i plutonem kolarzy 55 pułku piechoty, rozbiła pod Kaczkowem kompanię Grenzschtzu, biorąc 15 jeńców. Straty własne wynosiły trzech poległych żołnierzy Obrony Narodowej (strzelcy: Stanisław Szulc, Jan Jurdeczka i Franciszek Barteczka, których pochowano na cmentarzu w Poniecu)

oraz czterech rannych. Odbito również Bojanowo, które obsadził pluton 55 pułku piechoty.

Osłonę Rydziny stanowił 3 szwadron 17 pułku ułanów z plutonem podporucznika Pawła Matuszewskiego z batalionu Obrony Narodowej „Leszno”. Oddział ten został przejściowo wyparty z miasteczka, lecz nad ranem 2 września ponownie zajęto utracone stanowiska. Żołnierze tego batalionu uczestniczyli w likwidacji dywersji w Lesznie.

Batalion Obrony Narodowej „Kościan” w bezpośrednich walkach granicznych udziału nie brał. Kompanie; kościańska podporucznika Stanisława Waligóry i czempińska podporucznika Alfonsa Wiśniewskiego zajmowały wyznaczone stanowiska na odcinku obronnym „Rogalin” nad Wartą, patrolując najbliższą okolicę. O wybuchu wojny dowódca batalionu kapitan Franciszek Trojanowski

dowiedział się z komunikatu ogłoszonego przez radio znajdujące się w jego szkolnej kwaterze. Z kolei kompania śmigielska porucznika Stanisława Cybulskiego dozorowała rejon Czacz – Śmigiel. W nocy z 31 sierpnia na 1 września przybyły tu szwadrony 1 i 4 ułanów, pluton przeciwpancerny oraz pluton łączności z drużyną saperów. Stąd 4 szwadron z dwoma karabinami maszynowymi przesunięty został do rejonu Starego Bojanowa, a część plutonu łączności do Ponina pod Kościanem. 2 szwadron z armatą przeciwpancerną i dwoma karabinami maszynowymi zajmował stanowiska w Morownicy, a 3 w Rydzynie. Szwadron kolarzy stał w Karsznicach, mając jeden pluton w Śmiglu.

Na rzece Samicy zniszczono tamy w celu zalania rejonu Czacz – Śmigiel. Zamierzonego efektu jednak nie osiągnięto, a to ze względu na



Grupa polskich oficerów w obozie jenieckim Murnau. U góry w przejściu stoi por. Marian Lewicki – dowódca Kompanii ON „Rawicz”, w trzecim rzędzie drugi od lewej stoi ppor. Jan Wąsiak – dowódca 3 plutonu kompanii ON „Śmigiel”, od prawej (w płaszczu) stoi ppor. Julian Dąbrowa – dowódca 1 plutonu kompanii ON „Rawicz”, trzeci od prawej (w okularach) siedzi kpt. Antoni Franciszek Hertmanowski – dowódca batalionu ON „Rawicz”.

(Fot. 2x) ze zbiorów dra Piotra Bauera

bardzo niski poziom wody. Pionierzy 17 pułku ułanów zaminowali także tor kolejowy Stare Bojanowo – Kościan oraz tor kolejki wąskotorowej Stare Bojanowo – Śmigiel. Wieczorem, na rozkaz dowódcy 17 pułku ułanów 1 pluton 2 kompanii „Śmigiel” por. Edwarda Szwarca udał się samochodem ciężarowym na rozpoznanie w kierunku Przemętu. Miejscowość ta była zajęta przez oddział nieprzyjaciela, który ostrzelał pluton ogniem karabinowym.

Jednocześnie w celu uniknięcia wystąpień dywersyjnych na terenie powiatu przeprowadzono internowanie podejrzanych osób wśród ludności niemieckiej. W Kościanie funkcjonariusze policji państwowej zatrzymali i osadzili w miejscowym więzieniu 25 Niemców. Podobne akcje przeprowadziła policja, żołnierze Obrony Narodowej i wojsko w Śmiglu, Starym Bojanowie, Wielichowie, Kamieńcu i Krzywiniu. Internowani, najczęściej pod eskortą Obrony Narodowej – zostali dostarczeni do Kościana i umieszczeni w więzieniu i sali Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. W dniu następnym

zatrzymanych sformowano w kolumnę marszową i poprowadzono przez Kawczyn i Czempin do miejsca postoju dowództwa Wielkopolskiej Brygady Kawalerii w Śremie. Wobec ciągle wrogiej postawy mniejszości niemieckiej pojedynczych internowań i poszukiwania ukrytej broni, dokonywano również w dniu następnym. W Brońsku i Katuszu czynności te przeprowadzał 1 pluton śmigielskiej kompanii Obrony Narodowej podporucznika Szwarca z szefem kompanii plutonowym Franciszkiem Jacygardem (*), a w innych miejscowościach leszczyńscy ułani. Między innymi dywersję w Święciechowie stłumili ułani 2 szwadronu, a w Starym Bojanowie – na rozkaz dowódcy 4 szwadronu – aresztowany został miejscowy pastor, przechowujący u siebie portret Hitlera oraz pistolet i dwie skrzynki amunicji.

Od 3 września Obrona Narodowa wraz z wojskiem rozpoczęła odwrót na ostateczną linię oporu, a następnie ku Bzurze, gdzie dopełnił się jej żołnierski los.

PIOTR BAUER

(*) Franciszek Jacygard (vel Jajcygrał), zawodowy podoficer 60 pp w Ostrowie Wlkp. Po zakończeniu działań wojennych powrócił do Ostrowa, gdzie odszukany przez niemieckiego burmistrza Śmigla został aresztowany i przewieziony do więzienia śledczego w Kościanie. Oskarżony „o szczególne gorliwe organizowanie Obrony Narodowej”, rozstrzelany został 9 XI 1939r. w lesie racockim pod Kościanem wraz z 20 innymi Polakami. Jego losy odtworzył na łamach „Panoramy Leszczyńskiej” red. Jerzy Zielonka w artykule „Donos na Jacygarda”.

21 VIII 1941r. w więzieniu przy ul. Młyńskiej w Poznaniu zgilotynowany został st. sierż. Teofil Skrzypczak, szef 3 kompanii batalionu Obrony Narodowej „Kościan” i współorganizator wraz z Edwardem Fabiańczykiem Narodowej Organizacji Wojskowej (Armii Narodowej) w pow. Kościańskim.

Do ostatnich swoich dni nasz przyjaciel, współpracownik i laureat nagrody „Wiadomości Kościańskich” dr Piotr Bauer gromadził materiały do napisania popularno-naukowego cyklu o jednostkach i żołnierzach. Nie zdążył – za wcześniej odszedł na Wieczną Wartę. Drukujemy kolejny szkic, który miał wejść do przygotowanej przez Niego książki.

Dziennik rawickiego policjanta (III)

Ten dziennik jest po części mistyfikacją. Funkcjonariusz Schutzpolizei w Rawiczu w latach 1939-1940 nie prowadził osobistych zapisków. Ale z tamtych czasów pozostały w archiwach tomy dokumentów, które wykorzystałem. Mistyfikację stanowi jedynie formuła dziennikarskiego przekazu, ale zdarzenia i osoby - poza narratorem - są autentyczne. Do pisania o Ziemi Rawickiej namawiał mnie od dawna miłośnik regionu, prezes Rawickiego Towarzystwa Kulturalnego pan Józef Stasiak. Więc jeśli ten swoisty reportaż odkryje przed czytelnikami nieznane fragmenty okupacyjnych dziejów pięknego i bogatego w tradycje miasta i powiatu - to cel, jaki wspólnie sobie postawiliśmy będzie osiągnięty. Tworzyłem są wyłącznie niemieckie materiały, wśród nich kompletne i dobrze zachowane w Archiwum Państwowym w Poznaniu księgi raportów dziennych posterunku Schutzpolizei w Rawiczu.

1 XII 1939. Rośnie opór Polaków. Wielkopolanie są bardzo groźni. Jedną z form oporu jest w Rawiczu propaganda szeptana. Ludzie opowiadają sobie niestworzone historie, najczęściej jednak wygadują na Hitlera i na III Rzeszę. Wszystkie tego typu zachowania traktuje się z odpowiednią surowością. Wachtmeister żandarmerii Wettengel jest naszym najczęstszym gościem. Dziś przywiózł kolejnego podżegacza. Jest nim Józef Poniecki z Sarnowy, działacz wiejski z patriotycznej rodziny, znany z wielu antyniemieckich wypowiedzi. Poniecki uprawiał wrogą propagandę, co stało się podstawą aresztowania. Umieściliśmy go w celi aresztu policyjnego pod szczególnym nadzorem. Jego sprawę prowadziła będzie powiatowa komenda żandarmerii w Rawiczu. Około 18-tej gestapo ze Żmigrodu aresztowało Stanisława Kuczyńskiego (ur. 5 V 1917 r.)



Adolf Hitler przemawia do niemieckiej młodzieży w 1935 r. Fot. archiwum „WK”

zamieszkałego w Rawiczu przy Saidelstrasse 2. Przywieziono go na noc do naszego aresztu, jutro będzie zabrany do Żmigrodu.

2 XII 1939. Duchowieństwo katolickie za dużo sobie pozwala. Kapłani polscy stanowią oparcie dla elementów nacjonalistycznych i judzą przeciwko Rzeszy Niemieckiej. Dowiedziałem się od komendanta, że nasi informatorzy otrzymali specjalne zadanie inwigilowania księży. Sprawa pozostaje w gestapo, ale tajna policja państwowa nie dysponuje jeszcze odpowiednią siłą osobową. Za najgorszych nacjonalistów uważa się u nas: ks. Edmunda Kasiora z Sobiałkowa, ks. Leona Knycha z Konar, ks. Mariana Nowickiego z Łaszczyna, ks. Antoniego Skórnickiego z Gołaszyna, ks. Brunona Troskę z Golejewka, ks. Franciszka Wolskiego ze Słupi Kapitulnej i ks. Franciszka Woschke z Zakrzewa. Informatorzy twierdzą, że najgorszą pracę antypaństwową wykonuje się w parafii w Zakrzewie.

Nadchodzi zima. W nocy spadł śnieg i zrobiło się mroźno. Okazję wykorzystali Polacy. „V-23”, idąc o 5.45 do pracy, stwierdził, że Rawicz obwieszony jest politycznymi plaka-

tami, a w rejonie plant i kościoła porzucano ulotki, ośmieszające Rzeszę Niemiecką i Führera. Zamiast zgłosić się u nas natychmiast - poszedł najpierw do przedsiębiorstwa, przepracował dwie godziny i na posterunku zjawił się po 8-ej. Takie opóźnienie uniemożliwia wykrycie sprawców. „V-23” tłumaczył, że nie mógł przed kierownikiem ujawnić celu wyjścia w obawie przed dekonspiracją i czekał na sposobność cichego wymknięcia się z fabryki. Na pierwszy rzut oka plakaty i ulotki wykonano amatorskim sposobem, ale tak chytrze, że autorów trudno będzie wykryć. Plakaty pozrywaliśmy.

15 XII 1939. Niemcom potrzebna jest przestrzeń. Po „Baltendeutschach”, którzy przybyli do Rawicza 9 listopada, mają nadejść następne transporty przesiedleńców z różnych krajów. Przybywa też urzędników i rzemieślników, którzy sprowadzają się tutaj ze Starej Rzeszy. Trzeba dla nich przygotować mieszkania, sklepy, zakłady rzemieślnicze i gospodarstwa. Rozpoczęliśmy wielką akcję wysiedlania Polaków. Są zalecenia, aby na pierwszy rzut skierować polskich powstańców 1918/1919 r., młodzież gimnazjalną, rodziny zastrzelonych partyzantów itp.

Wysiedlanie rozpoczęliśmy 12 grudnia. Na listach imiennych znajduje się ponad 850 nazwisk Polaków i Żydów. Do akcji włączono wszystkich funkcjonariuszy policji. Wczoraj zaczęliśmy przeprowadzać rodziny z punktu zbornego na dworzec, skąd wyruszył pociąg w kierunku Tarnobrzega. Konwojowaliśmy 848 wysiedlonych, których za pokwitowaniem zdaliśmy burmistrzowi Tarnobrzega. Wróciliśmy stamtąd zmęczeni, ale zadowoleni z dobrze wykonanych rozkazów.

Od dłuższego czasu walczyliśmy z polskimi napisami, szyldami i wywieszkami. Jeśli się komukolwiek wydaje, że jest to zupełnie proste - to jest w błędzie. Z reklamami,

wywieszkami i mniejszymi szyldami nie ma problemów. Najgorsze są napisy na murach nad sklepami, zamalowywane - po kilku tygodniach znów się pokazują. Dużo pracy wymaga likwidacja ciężkich i silnie przymocowanych do ścian domów - szyldów urzędowych i kupieckich. Dziś dwóch policjantów pomocniczych męczyło się przez kilka godzin przez jeden szyld, który usiłowali, bez uszkodzenia muru, zdjąć z budynku. Zgrzali się przy tym, więc zdjęli płaszcze i położyli na uboczu. Podkradł się jakiś zezwierzęcony złodziej i zabrał im te okrycia. Z szyldem sobie jakoś poradzili, ale na posterunek powrócili zziębnięci i bardzo źli.

28 XII 1939. Mroźna zima daje o sobie znać. Dzień po dniu rawiccy Niemcy zgłaszają nam przypadki pęknięcia rur wodociągowych. Wiele mieszkań jest zalanych. Brakuje opału. Kradzieże węgla i drewna nie należą do rzadkości. Zgłoszono nam m.in., że jacyś sprawcy wycięli na opał trzy duże drzewa na starym cmentarzu żydowskim.

Znów zmniejsza się efektywność pracy naszych informatorów. Ustały w ogóle skargi Polaków na Polaków. Komendant twierdzi, że świadczy to o głupocie informatorów, którzy nieostrożnymi poczynaniami dali się rozpoznać w poszczególnych środowiskach. Zwiększyła się solidarność ludności polskiej, która wyraźnie rozpoznaje i izoluje zdrajców. W tej sytuacji podstawowym źródłem naszych informacji stały się donosy volksdeutschów, a przede wszystkim narodowo-socjalistyczna czujność żołnierzy Wehrmachtu i policjantów.

Święta zapowiadały się spokojnie. Tymczasem 25 grudnia, wczesnie rano, przyszedł na posterunek żołnierz Eikel z broni pancerniej, mieszkający w Rawiczu przy Lindenstrasse i postawił wszystkich naszych funkcjonariuszy w stan pogotowia. Doniósł mianowicie, że w Rawiczu działa grupa młodych polskich konspiratorów! W tym samym domu co Eikel mieszka Polka, 18-letnia Franciszka Hacekówna (?). Słyszał jak opowiadała, że jej narzeczony służy we francuskim lotnictwie i na

najbliższe wakacje będzie w Polsce. Eikel śledził polską dziewczynę i wykrył, że spotyka się ona konspiracyjnie z grupą młodych rawiczan, którzy spiskują i potajemnie słuchają radia. Spotkania odbywają się w domu przy ul. Wilhelmstrasse 41, w mieszkaniu 21-letniego urzędnika bankowego Jana Kiepułskiego. Do tej grupy należą jeszcze: siostra Kiepułskiego - Zofia, lat 19; praktykant Bernard Bruczyński - lat 19 i elektromonter Franciszek Skrzypczak - lat 23. Radio jest produkcji amatorskiej i stanowi własność Skrzypczaka. Pięciosobową grupę przestępczą aresztowaliśmy w pierwsze Święto, po kilkugodzinnej obserwacji. Znaleźliśmy aparat radiowy. Zastanawiamy się teraz - czy grupa ta nie wyprodukowała i nie rozlepiła plakatów i ulotek w początku miesiąca. Sprawę przejmuje gestapo. Dziś Franciszka Skrzypczaka, Bernarda Bruczyńskiego, Jana Kiepułskiego i Franciszkę Hacekównę przekazaliśmy do więzienia w Rawiczu. Piąta z tej grupy - Zofia Kiepułska odniosła obrażenia w trakcie przesłuchań i umieszczona została tymczasowo w miejscowym szpitalu.(cdn)

*

1 I 1940. Z Nowym Rokiem pomnaża się nadzieja Polaków. Powtarza się powszechnie, że wiosną Anglia i Francja rozpoczną ofensywę i do walki wkroczy tworzone na Zachodzie polskie wojsko. Kariere robi powiedzenie: „Słoneczko wyżej - Sikorski bliżej”.

„V-1” doniósł, że pod Szymanowem usłyszał piosenkę śpiewaną po polsku przez wyrostków. Ze słów wynikało, że Hitler umarł i położono go na jakiejś desce. Wokół zwłok Wodza grają i tańczą polscy żołnierze, ciesząc się z tej śmierci. Wśród rawiczan krążą także oburzające i niewybredne dowcipy o przywódcach III Rzeszy, W rozmowach prywatnych nie wymienia się nazwiska Führera. Polacy mówią o nim pogardliwie „Ten”, kładąc równocześnie dwa palce pod nos w miejsce wąsów. Takie traktowanie naszego ukochanego wodza musi się spotkać ze zdecydowanym i surowym przeciwdziałaniem.

Wczoraj mieliśmy spokój - żadnych incydentów. Za to dziś o 13.55 przybiegł na posterunek volksdeutsch, rolnik Alfred Kleiberg zam. w Rawiczu - Vorwerk. Przysięgał na wszystkie świętości, że widział jak Polak Stanisław Dzikowski (zam. Vorwerk nr 10) rozmawiał z dwoma osobnikami w polskich mundurach wojskowych. Na czele patrolu złożonego z policjantów pomocniczych udałem się pod wskazany adres. Kleiberg miał rację. Polak Dzikowski nakarmił, udzielił pomocy i ukrył czterech jeńców zbiegłych ze stalagu VIII C 13. Aby ułatwić sobie ucieczkę, żołnierze zgłosili się ochotniczo do pracy i zatrudnieni zostali w niemieckim majątku Welwitz (pow. Wschowa). Aresztowaliśmy: Feliksa Papierniaka z Ujścia pow. Będzin, Jana Skorka z Wysokiej Lelowskiej pow. Zawiercie, Józefa Kojca ze Skąty pow. Olkusz i Stanisława Sonicza z Błaszek pow. Olkusz. Jeńców zamknęliśmy w celach aresztu policyjnego i powiadomiliśmy o incydencie komendę Wehrmachtu, która jutro przejmie jeńców. Dzikowskiem zajmie się gestapo.

4 I 1940. Stara Rzesza zgłasza zapotrzebowanie na tanią siłę roboczą. Największe starania czynią właściciele folwarków i narodowo-socjalistyczny związek chłopski. W Rawiczu działa Urząd Pracy (Arbeitsamt), który zobowiązany jest dostarczać określoną liczbę polskich robotników do dyspozycji niemieckiego rolnictwa. Powołanym do pracy wysyła się pisemne wezwania. Zdarza się jednak często, że rawiczanie nie respektują tych wezwań. Dzisiaj o godz. 15-tej aresztowaliśmy 4 unikających pracy, i to: Czesława Zembrę (?) z Berlinerstadtgraben nr 4, Franciszka Belę z Lindenstrasse nr 4, Bronisława Kota z Wilhelmstrasse nr 5 i Mariana Olczaka z Charlottenstrasse nr 13.

6 I 1940. Choć Rawicz i powiat pod względem bezpieczeństwa politycznego pozostaje w sferze oddziaływania placówki gestapo w Lesznie (Aussendienststelle der Geheime Staatspolizei Lissa), to jednak niustannie trwają spory kompeten-



Jeden z tak zwanych pawilonów więzienia w Rawiczu w 1939 roku. Fot w zbiorach autora tekstu

cyjne z placówką gestapo ze Żmigrodu. Między Schutzpolizei a gestapo stosunki układają się nie najlepiej. Denerwuje nas wyniosły sposób bycia gestapowców, którzy traktują nas z góry. Nie chcę zrozumieć, że od naszej żmudnej, drobiazgowej służby zależy przyszłość Rzeszy.

Szef gestapo ze Żmigrodu nadesłał ostatnio pisemne polecenie, abyśmy natychmiast aresztowali braci: Bolesława Jańczaka (ur. 27. X. 1919 r.) zam. przy Ratsstrasse nr 21 i Jana Jańczaka (ur. 8. V. 1911 r.) zam. przy Rynku nr 24. Wydaje im się tam w gestapo, że my tutaj jesteśmy cudotwórcami. Braci Jańczaków od czasu wybuchu wojny w Rawiczu nie widziano. Nasi informatorzy twierdzą, że nie zjawili się w obawie przed aresztowaniem. Podejrzani są o dywersję i pracę w polskim wywiadzie wojskowym. Ustaliliśmy, że w przypadku pojawienia się w mieście, wyżej wspomniani zostaną bezwzględnie uwięzieni. Napisałem w tej sprawie raport do Żmigrodu.

20 I 1940. Często chodzę do zakładu karnego w Rawiczu (Strafan-

stalt Rawitsch). To właśnie my - funkcjonariusze Schutzpolizei - przyjmujemy transporty więźniów na dworcu i konwojujemy je do więzienia, odbieramy także więźniów i przewozimy ich do innych zakładów, doprowadzamy lub dowozimy na przesłuchania. Strażnicy zajmują się więźniami w zasadzie w obrębie samego zakładu i przy pracy poza jego obrębem. Zakład karny w Rawiczu uważany jest za bardzo ciężkie i dobrze strzeżone więzienie. Stąd dużym zaskoczeniem stała się wiadomość, jaką przekazał nam inspektor Lang z więzienia, że między godz. 5 a 6 zbiegło z niego 2 Polaków. Wydostali się podkopem. Podjęte przez nas poszukiwania nie przyniosły pozytywnego wyniku. Ale zbiegowie daleko nie uciekli. Ujęła ich żandarmeria w okolicy Wrześni ok. godz. 18-tej.

24 I 1940. Formy oporu Polaków przyjmują różne kształty. Grudniowe wysiedlenia w ub. roku spowodowały w Rawiczu falę plotek i domysłów. Polacy spekulują na temat kolejnych wysiedleń. Wiele rodzin przygotowu-

je się na taką ewentualność i ma już bagaże spakowane. Konfidenti („V-3”, „V-9” i „V-34”) twierdzą, że - mimo krótkiego czasu - wysiedleńcy z Tarnobrzega zdołali nawiązać ze swymi krewnymi i znajomymi w Rawiczu nielegalne kontakty. Początkowym informacjom, które otrzymaliśmy około Bożego Narodzenia, nikt nie dawał wiary; bowiem nie znaleźliśmy żadnych dowodów.

Dziś rano „V-3” wyszedł w Rawiczu blacharza Stanisława Marciszewskiego, który powinien znajdować się na wysiedleniu w Generalnym Gubernatorstwie; mieszkającego dawniej przy Breslauerstrasse 22. Wkroczyliśmy do akcji. Okazało się, że Marciszewski wrócił z Tarnobrzega pod pozorem zabrania uprzednio zapomnianych narzędzi. Nie był to jego pierwszy nielegalny przyjazd do Rawicza. Marciszewski zajmował się przekazywaniem listów poza pocztową cenzurą, przewozem paczek, pieniędzy itp. Aresztowałem go i doprowadziłem do policyjnego aresztu w Ratuszu. Miał przy sobie kilkanaście listów, 310 marek i 200 złotych.

*

15 II 1940. Na pierwszym planie naszej narodowo-socjalistycznej walki znajduje się kwestia żydowska. Żydzi są zarazą, którą trzeba wyplenić. Stanowią zagrożenie rasowe, są pasożytami ludzkości. W stosunku do Żydów mamy zupełne pełnomocnictwa. Te grupę ludności wyłączono w ogóle spod prawa. W Rawiczu czystych Żydów jest bardzo mało - szacuje się, że kilkadziesiąt rodzin, ale nie mamy pełnego rozeznania; nie znamy koligacji rodzinnych. W synagodze rawickiej zabezpieczyliśmy księgi, w których spodziewamy się znaleźć rodowody miejscowych wyznawców Mojżesza. Na polecenie gestapo z Leszna poszedłem dziś z patrolem do synagogi po żydowskie księgi. Ktoś nas uprzedził. Największe okno bóżnicy miało wyjętą szybę; zerwano plomby na drzwiach. Skrzyń z księgami nie znaleźliśmy. Ślady włamania są dostrzegalne gołym okiem. Kiedy przekazałem informację do gestapo w Lesznie zrobiła się awantura. Gestapo uważa, że kradzież ksiąg jest wynikiem naszego niedbalstwa. Jak są tacy mądrzy, to dlaczego sami wcześniej nie zabrali akt z bóżnicy?

27 II 1940. Rawicz jest siedzibą garnizonu Wehrmachtu. We wszystkich miastach Kraju Warty, w których stacjonuje nasze wojsko, wprowadzono system brania zakładników spośród polskiej ludności cywilnej. Stało się to w połowie września 1939r. W różnych miastach system ten różnie funkcjonuje. Sprawę zakładników w Rawiczu ujęła w swoje ręce komenda Wehrmachtu. W specjalnie wyznaczonej celi w zakładzie karnym oddanej do dyspozycji wojska, osadza się na 24 godziny 12 mężczyzn - Polaków wybranych spośród miejscowych obywateli. Początek odosobnienia liczy się od godz. 12-tej. Zdarza się, że Wehrmacht posługuje się naszymi funkcjonariuszami do konwojowania zakładników; zdarza się, że wypożyczamy zakładników do wykonywania porządkowych prac miejskich.

Konwojowanie zabiera nam nadal dużo czasu. Dziś na dworcu przyjeśliśmy z transportu zbiorowego i dopro-

wadziliśmy do więzienia 40 mężczyzn i 14 kobiet.

9 III 1940. Drugie wielkie wysiedlenie w Rawiczu i powiecie. Zajmujemy się przygotowaniem akcji od kilku dni. W urzędzie landrata sporządzono imienne listy wysiedlonych, a także wykazy mieszkań do przejęcia. Wysiedlonych Polaków doprowadzamy do punktu zbiorczego w Rawiczu, gdzie oczekują na specjalny pociąg. Po wyjściu mieszkańców - przeprowadzamy gruntowne rewizje i opieczetowujemy izby. Wczoraj całe popołudnie pracowałem przy Berlinerstrasse i Berlintadtgraben. Przypadło mi w udziale przeszukiwanie mieszkań wysiedlonych rodzin polskich, i to: Dolskich, Urbańskich, Klimarskich, Jędraszaków, Menzfeldów, Wolaninów, Witkowskich, Lisieckich i Kamińskich. Dziś robiłem to samo przy Wilhelmstrasse w mieszkaniach: I. Dziekana - nr 1, A. Latuszka - nr 15, H. Durczewskiego - nr 17, I. Burzyńskiego - nr 23, Wł. Tomaszewskiego - nr 22, Fr. Sobkowiaka - nr 27, Wł. Szymankiewicza - nr 31 i L. Niszaka (?) - nr 43.

12 III 1940. Sądny dzień. Nadszedł specjalny pociąg, którym wywozimy wysiedleńców. Ktoś jednak nie skoordynował zadań i także dziś mamy przyjąć transport więźniów do zakładu karnego oraz konwojować grupę przestępców z Rawicza do Poznania. Cały stan osobowy Schutzpolizei zaangażowany jest od rana w akcję wysiedleń. Wraz z nimi działają żandarmi, policjanci pomocniczy, aktywny polityczny NSDAP i SA, członkowie straży więziennej. Wydaje się, że zakres wysiedlenia jest większy niż w grudniu ub. r. We czwórkę - ze strażnikami z zakładu karnego: Polletschem, Güntherem i Witterem - doprowadzam rodziny ewakuowanych na dworzec „Rawicz-Zachód”, gdzie stoi specjalny pociąg. Konwojem pociągu dowodzą: policjant Kessler i podoficerowie żandarmerii Ballenmühler i Oechssner. Dano im pod komendę 7 policjantów pomocniczych. Pociąg z wysiedlonymi wyruszył w kierunku Poznania, stamtąd ma być skierowany do Generalnego

Gubernatorstwa.

O godz. 14.30 musiałem stawić się w więzieniu rawickim z dwoma policjantami pomocniczymi. Odprawiliśmy na dworzec 43 więźniów, wysyłanych w kierunku Wołowa. Zostaliśmy już na miejscu, bo o 16.43 przychodzi do Rawicza pociąg ze specjalnymi wagonami do transportu więźniów z kierunku Poznania. Odebraliśmy z niego i doprowadziliśmy do zakładu karnego 21 osób.

Wieczorem - biurokracja. Wszystko to, co wykonałem muszę zawsze szczegółowo opisywać - najpierw w zeszycie osobistym, później w księdze raportów posterunku. Po latach nikt nie uwierzy, że w czasie wojny było tyle pisaniny. Funkcjonariusze narzekają, że biurokracja zżera najwięcej czasu, ale porządek musi być - „Ordnung muss sein”.

21 III 1940. Dowiedziałem się od komendanta, że 15 lutego br. funkcjonariusze gestapo z Leszna aresztowali grupę polskich duchownych wrogo nastawionych do III Rzeszy. Internowano ich w klasztorze w Miejskiej Górcie. W tej poskromionej grupie nacjonalistów znaleźli się m. in.: proboszcz z Sobiałkowa Edmund Kasior - lat 57, wikary z Konar Leon Knych - lat 25, wikary z Łaszczyna Marian Nowicki - lat 35, proboszcz z Golejewka - Brunon Troska - lat 55. Takie ostrzeżenie nie poskutkowało. Informatorzy donoszą, że w kościołach nadal krzewi się polską myśl. Księża są niepoprawni. Kościół katolicki nie daje za wygraną. Dlatego trzeba niszczyć tę hierarchię. O godz. 20.30 landrat dał rozkaz, abym ostrzegł natychmiast proboszcza rawickiej gminy katolickiej przed próbą wykorzystywania świąt Wielkanocy do działalności narodowej. Miałem go jednocześnie powiadomić, że wojewoda w Poznaniu Arthur Greiser zakazał urządzania wszelkich nabożeństw w Wielki Piątek. W pierwsze i drugie święto Wielkanocy zezwala się na odprawienie mszy, ale tylko cichych - bez muzyki i śpiewów; poza tym wyłącznie między 7-ą a 11-tą. O kazaniach nie może być w ogóle mowy. (cdn)

JERZY ZIELONKA



Boże Narodzenie w Kościanie w 1935 roku

Ani się obejrzelśmy, a już dobiega kresu rok 2015. Koniec roku kojarzy się zawsze ze świętami Bożego Narodzenia. Jest to czas szczególny, w wymiarze religijnym i społecznym. Generalnie można go określić jako czas oczekiwania. Te zbliżające się święta skłaniały do różnorodnych przygotowań. Zauważyła to kościańska „Gazeta Polska”, która w 1935 roku tak opisywała te przygotowania: „W okresie poprzedzającym święta w każdym „tradycyjnym” domu dzieją się rzeczy i najrozmaitsze wyczyny, nigdy niestety nie zrozumiane przez „panów domu”. Ciche dotychczas „panie domu” ogarnia niczym nie powstrzymany szal (określenie „panów”) porządkowania i uprzątnięcia, w którym to okresie czasu właściwie trudno coś znaleźć, nie wolno „łazić” po wyfroterowanych podłogach, jednym słowem nie wolno zawadzać w domu”.

W tych przygotowaniach aktywnie pomagali kościańscy handlowcy, którzy już wiele tygodni przed świętami reklamowali swoje usługi i towary. Nieoceniony Wawrzyniec Czajka proponował:

Boże Narodzenie Zwracamy uwagę na naszą Wielką Wystawę Gwiazdkową którą urządzamy w niedzielę 8-go b. m. w naszym składzie detalicznym przy Alei Kościuszki nr 32.

Polecamy zarazem na święta po cenach niższych Likier Rummy Wina krajowe Koniaki Araki Wina zagraniczne Wódki Poncze Soki owocowe. Wielki wybór w piernikach, czekoladach i cukrach renomowanych firm, jak: Goplana, Wedel, Fuchs, Wessel, i in. Wawrzyniec Czajka, Kościan Zakłady Przemysłowo-Handlowe tel. 43.

Nie chciał być gorszy Franciszek Stróżyk, który zapewniał:

10% rabatu gwiazdkowego! Miłe – tanie i wonne podarki gwiazdkowe już nadeszły!!!

Wielki wybór w kasetach manicuro- wych, perfumeryjno-kosmetycznych. Flakony z różnego rodzaju perfumierią i wodami kwiatowymi. Aparaty fotograficzne oraz wszelkie przybory itd.

Z kolei kościańskie harcerki zachęcały:

Spieszcie się wszyscy do Bazaru Gwiazdkowego Hufca Harcerek, który będzie trwać od 15-22 b.m. w nowym składzie przy Hotelu Viktoria. Nabyć tam będzie można ręczne prace harcerek, które są zawsze najpraktyczniejszymi podarkami. Milusińskich zaś pociągną piękne Łowiczanki, Krakowianki, Ślązaczki wykonane także przez harcerki. Zuchy przygotowały pomysłowe ozdoby choinkowe.

W okresie świątecznym nie brakowało różnych uroczystości i imprez związanych ze świętami jak np.:

Arion tradycyjnie w Hotelu Warszawskim organizuje „Wieczór Rozmaitości”, pieśni na solo sopran, tenor i bas, kuplety i pieśni ludowe. Druga część piękna operetka Offenbacha „Zaczarowane skrzypce”. Wykonawcy p.p. J. Filipiakówna, Fr. Lenart i T. Walenciak.

W drugie święto Bożego Narodzenia zapowiadano zabawę taneczną w ściśle zamkniętym kółku, a organizowało ją Koło Starszych Harcerzy. Stowarzyszenie Pań Miłosierdzia św. Wincenciego a Paulo urządzało 23.12 „Gwiazdkę” dla biednych. Obdarowano 350 osób. Kinoteatr „Apollo” wyświetlało w święta film „Tygrysy Pacyfiku”.

W numerze świątecznym kościańskiej „Gazety Polskiej” ukazał się artykuł ks. Kozubskiego, w którym pisał:

„Oto bowiem na wspomnienie nocy betlejemskiej, tak rzewne uczucia budzą się w sercach, jakich nigdy nie doznajemy na pamiątkę choćby najuroczystszych i najdroższych chwil z życia narodu czy rodziny. I nie tylko u wierzą-

cych, ale i u tych co „dawno nie wiedzą gdzie podziła się ich wiara”.

Boże Narodzenie to święta radości i dlatego tradycyjnie warto przypomnieć kilka dowcipów z tych lat:

On też tak myśli

Porucznik: Na co właściwie mamy wojsko?

Rekrut: Ja też tak myślę, panie poruczniku.

Odważni

- Wie pan, że ci co wracają z wojny na gwałt się żenią?

- Nic dziwnego, przecież oni już niczego się nie boją.

Między dziećmi

- Moja mama będzie malowana przez artystę malarza.

- Phi! Moja mama sama maluje się codziennie rano.

Ważny powód

- Dlaczego ostatnią posadę pani opuściła?

- Bo nie przewidywałam w niej przyszłości.

- Jak to przyszłości?

- Bo szef jest żonaty.

Bracia

- Dlaczego ty go tak bijesz, czy nie wiesz, że i wrogów trzeba miłować?

- To nie jest żaden wróg, to jest mój brat.

Po egzaminie

- Jak tam ci poszedł egzamin, pewnie obciąłeś się?

- Udało się nadzwyczajnie. Na ogólne życzenie profesorów będę musiał jeszcze raz wszystko powtórzyć.

JAN PAWICKI